



MORGAN RICE

SEN ŚMIERTELNIKÓW

KSIĘGA 15 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

Kręgu Czarnoksiężnika

Morgan Rice

Sen Śmiertelników

«Lukeman Literary Management Ltd»

Rice M.

Sen Śmiertelników / M. Rice — «Lukeman Literary Management Ltd», — (Kręgu Czarnoksiężnika)

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontrintrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce. - Books and Movies Reviews, Roberto Mattos (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów) Świetne rozrywkowe fantasy. – Kirkus Reviews (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów) To początek czegoś, co warto będzie odnotowania.

– San Francisco Book Review (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów)

SEN ŚMIERTELNIKÓW to piętnasta część bestsellerowej serii KRĘGU CZARNOKSIEŻNIKA, która rozpoczyna się, udostępnioną teraz za darmo książką Wyprawa bohaterów! W ŚNIE ŚMIERTELNIKÓW Thorgrin i jego bracia starają się uwolnić z potrzasku w jaki schwycili ich piraci. Następnie kontynuują swoją wyprawę w poszukiwaniu Guwayne'a. Napotykają niespodziewanych przyjaciół i wrogów, magię i broń, smoki i ludzi. Wszystko to będzie miało wpływ na ich przeznaczenie. Czy uda im się wreszcie odnaleźć Guwayne'a? Dariusowi i kilku jego przyjaciołom udało się przetrwać rzeź dokonaną na ich ludzie – szybko jednak okazuje się, że stali się jeńcami, których przeznaczeniem jest Imperialna Arena. Spięci razem kajdanami muszą stawić czoła niewyobrażalnym wrogom. Ich jedyna szansa na przetrwanie to walczyć razem, jako bracia. Gwendolyn budzi się ze swojego snu i odkrywa, że zarówno jej jak i pozostałym udało się przetrwać wędrówkę przez Wielkie Pustkowia. Co jeszcze bardziej zaskakujące – docierają do krainy, która przechodzi ich najśmielsze oczekiwania. Docierają do nowego dworu królewskiego. Tajemnice, których Gwendolyn dowie się o swoich przodkach i o swoim ludzie, na zawsze zmienią ich przeznaczenie. Erec i Alistair, wciąż uwięzieni na morzu, starają się wydostać z uścisku floty Imperium. W tym celu decydują się na śmiałość, a nawet szaloną, nocną ucieczkę. Kiedy wszystko wydaje się iść nie po ich myśli, wydarza się coś, czego zupełnie się nie spodziewają. Nowe zdarzenia dają im szansę na zwycięstwo – szansę na to, aby zaatakować

samo serce Imperium. Godfrey i jego kompani znów znajdują się w więzieniu. Mają zostać wkrótce straceni. Ich jedyną szansą jest próba ucieczki. Jednak po tym, jak zostali straceni, chcą czegoś więcej niż tylko wolności – pragną zemsty. Volusia jest otoczona ze wszystkich stron. Stara się zdobyć stolicę Imperium, będzie musiała jednak przy tym powołać się na dużo większe siły, niż te, z którymi spotkała się wcześniej. Tylko w ten sposób udowodni, że jest Boginią i będzie mogła się stać Wielką Władczynią Imperium. Po raz kolejny los Imperium wisi na krawędzi. Dzięki skomplikowanej budowie świata i charakterystyce postaci, SEN ŚMIERTELNIKÓW jest wspaniałą historią o przyjaciołach, kochankach, rywalach i zalotnikach, o rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, o dorastaniu, złamanym sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. Jest to opowieść o odwadze, wierze i przeznaczeniu, o czarnoksiężstwie. Jest to powieść fantasy, która wprowadzi nas do świata, którego nigdy nie zapomnimy. To opowieść nadająca się dla wszystkich, niezależnie od wieku i płci. Natchnione fantasy... To tylko początek doskonałej serii książek fantasy dla młodzieży. – Midwest Book Review (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów) Przyjemne do czytania... cały czas chcesz się dowiedzieć co będzie dalej, więc książkę trudno odłożyć na bok – FantasyOnline. net (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów) Pełne akcji... Pisarstwo Riece jest rzetelne i bardzo intrygujące. – Publishers Weekly (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów)

© Rice M.

© Lukeman Literary Management Ltd

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	12
ROZDZIAŁ DRUGI	15
ROZDZIAŁ TRZECI	17
ROZDZIAŁ CZWARTY	21
ROZDZIAŁ PIĄTY	24
ROZDZIAŁ SZÓSTY	27
ROZDZIAŁ SIÓDMY	30
ROZDZIAŁ ÓSMY	34
Конец ознакомительного фрагмента.	39

SEN ŚMIERTELNIKÓW

(KSIEGA 15 KREGU CZARNOKSIEŻNIKA)

Morgan Rice

PRZEKŁAD

MICHAŁ GŁUSZAK

O autorce

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce.”

- Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

„Zajmujące epickie fantasy.”

- Kirkus Reviews

„Początki czegoś niezwykłego.”

- San Francisco Book Review

„Powieść pełna akcji... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje.”

- Publishers Weekly

„Porywające fantasy... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

- Midwest Book Review

Książki autorstwa Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)

POTEGA HONORU (CZEŚĆ #3)

KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ #4)

KRÓLESTWO CIENI (CZEŚĆ #5)

KRWAWA NOC (CZEŚĆ #6)

KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA

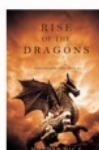
WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)
LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)
ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)
BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)
SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)
RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)
OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)
NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)
MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)
POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

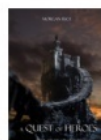
THE SURVIVAL TRILOGY
ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)
ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

WAMPIRZE DZIENNIKI
PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)
KOCHANY (CZEŚĆ 2)
ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)
POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)
ZAREČZONA (CZEŚĆ 6)
ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)
NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





[Słuchaj](#) książek z serii KREGU CZARNOKSIEŻNIKA w formie audiobooków!

Teraz dostępne na:

[Amazon](#)

[Audible](#)

[iTunes](#)

Copyright © Morgan Rice, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Za wyjątkiem wyjątków określonych w ustawie U.S. Copyright Act z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, dystrybuowana ani zmieniana (w żadnej formie ani w żadnym znaczeniu) ani przechowywana w bazach danych, czy systemach wyszukiwania treści bez uprzedniej zgody autorki.

Ten ebook przeznaczony jest wyłącznie do osobistego użytku. Nie może on być odsprzedawany, ani oddawany innym ludziom. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, prosimy, o zamówienie dodatkowej kopii dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, a nie została ona przez ciebie zamówiona, albo nie została zamówiona do wyłącznego użycia przez ciebie, prosimy o jej zwrócenie i zamówienie własnej kopii. Dziękujemy za uszanowanie ciężkiej pracy autorki.

Niniejsze dzieło opisuje historię fikcyjną, imiona, bohaterowie, firmy, organizacje, miejsca, uroczystości i wydarzenia również stanowią wytwór wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwa do rzeczywistych osób, żyjących lub martwych, są przypadkowe.

Ilustracja użyta na okładce Copyright Razzomgame, została wykorzystana na licencji Shutterstock.com



SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY
ROZDZIAŁ TRZYNASTY
ROZDZIAŁ CZTERNASTY
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
ROZDZIAŁ SZESNASTY
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY](#)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gwendolyn otworzyła z wolna pokryte zeschniętym pyłem powieki. Ten wysiłek kosztował ją utratę wszelkich sił, jakie jej jeszcze pozostały. Otworzyła je jednak tylko odrobinę i zmrużonymi oczami spojrzała na świat, który rozmazywał się w pełni słonecznego światła. Pustynne słońca paliły żywym ogniem skądś wysoko, tworząc wokół niej świat oślepiającej bieli. Gwen nie miała pojęcia, czy żyje, czy jest martwa – ale podejrzewała tę drugą ewentualność.

Oślepiana słońcem, była zbyt słaba, by obrócić głowę w którąkolwiek stronę. Czy właśnie tak to wygląda – zastanawiała się – kiedy się jest martwym?

Wtem jej twarz zasłonił cień. Zamrugła oczyma i dostrzegła nad sobą czarny kaptur, który skrywał w mroku oblicze niewielkiego stworzenia. Gwen widziała jedynie jego świdrujące, żółtawe oczy. Spoglądały na nią badawczo, jakby była jakimś przedmiotem zagubionym na pustyni. Stworzenie wydobyło z siebie dziwny pisk i wówczas Gwen zorientowała się, iż przemówiło w nieznanym jej języku.

Rozległ się odgłos szurania i podniósł obłok kurzu. Nad jej głową pojawiły się kolejne dwa stworzenia. Ich twarze skrywały kaptury, pod którymi jarzyły się oczy, jaśniejsze od samego słońca. Stworzenia zapiszczały, najwyraźniej komunikując się w ten sposób ze sobą. Gwen nie potrafiła ich rozpoznać i ponownie przyszło jej do głowy, że może nie żyje, że to wszystko to tylko sen. Może to kolejna fala halucynacji, którym ulegała przez kilka ostatnich dni wędrówki w pustynnym żarze?

Poczuła, jak któreś szturcha ją w ramię. Ponownie otworzyła oczy i dostrzegła, że jeden ze stworów opuszcza łaskę i dźga ją, prawdopodobnie sprawdzając, czy Gwen nadal żyje. Pragnęła podnieść rękę i pacnąć drzewce ze złości – lecz nawet na to zabrakło jej sił. Aczkolwiek powitała owo pragnienie z entuzjazmem; sprawiło bowiem, że poczuła, iż być może jednak tli się w niej jeszcze życie.

Nagle poczuła, jak długie pazury owijają się wokół jej nadgarstków i ramion, jak zostaje podźwignięta i ułożona na jakiegoś rodzaju płótnie. Stwory zaczęły wlec ją w tył po pustynnym podłożu, ciągnąc gdzieś w pustynnym słońcu. Nie miała pojęcia, czy taszcza ją, by zadać jej śmierć, jednak była zbyt słaba, by się tym przejąć. Podniosła wzrok i ujrzała przepływające obok obrazy, niebo podskakujące wraz z nią i słońca przypiekające do żywego jak nigdy. Pierwszy raz w życiu czuła się tak bardzo osłabiona, tak bardzo odwodniona; każdy oddech sprawiał wrażenie, jakby wdychała ogień.

Nagle poczuła, że do jej ust spływa zimny płyn i zobaczyła, jak jedno ze stworzeń pochyła się nad nią i podaje jej wodę ze swego bukłaka. Ostatkiem sił zdołała wyciągnąć język. Chłodna woda pociekła stróżką do jej gardła, ale odniosła wrażenie, że połyka ogień. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że gardło może wyschnąć aż do tego stopnia.

Piła łakomie z poczuciem ulgi, kiedy okazało się, że przynajmniej te stworzenia są jej przyjazne. Jednakże, po kilku sekundach stwór przestał wlewać w nią wodę i zabrał bukłak.

- Jeszcze – spróbowała wyszeptać zachrypłym głosem – lecz słowa uwięzły jej w gardle.

Ruszyli ponownie przed siebie, wlokąc Gwen, która próbowała zebrać siły i się uwolnić, pochwycić bukłak i wypić całą znajdującą się w nim wodę. Nie miała jednak siły choćby na to, by ruszyć ręką.

Sunęła wleczona przez długi czas. Jej nogi i stopy uderzały o kamienie i wyboje. Wkrótce odniosła wrażenie, że to trwa całą wieczność. Straciła całkowicie rachubę czasu. Jakby minęły całe dni. Jedynym dźwiękiem, jaki docierał do jej uszu był skowyt pustynnego wiatru, który niósł ze sobą jeszcze więcej piachu i żaru.

Gwen ponownie poczuła zimną wodę w ustach. Tym razem pociągnęła większy łyk i kolejny, aż ktoś wyrwał jej bukłak. Otworzyła oczy nieco szerzej i ujrzała stwora, który to uczynił. Dotarło do niej, że dawkuje jej wodę powoli, aby nie wypła jej zbyt dużo na raz. Tym razem, płyn sączący

się w dół gardła nie był już taki cierpki. Poczwała, jak uderza w jej żyły, nawadniając cały organizm. Zdała sobie sprawę, jak rozpaczliwie był jej potrzebny.

- Błagam – powiedziała – jeszcze.

Zamiast tego jednak stworzenie obmyło jej twarz i oczy. Chłodna woda podziałała ożywczo, spływając po jej gorącej skórze. Zmyła nieco brudu z jej powiek i Gwen była w stanie szerzej otworzyć oczy – przynajmniej na tyle, by dostrzec, co się dzieje.

Stwory, całe tuziny, otaczały ją zewsząd, powłócząc nogami, idąc przez pustynię odziane w swe czarne szaty z kapturami. Cały czas rozmawiały ze sobą, wydając te dziwaczne piski. Obejrzała się na tyle, by dostrzec, że taszcza ze sobą kilka innych ciał. Doznała wielkiej ulgi, kiedy zauważyła wśród nich Kendricka, Sandarę, Aberthola, Brandta, Atmę, Illeprę, niemowlę, Steffena, Arlisę, kilku Srebrnych oraz Krohna – w sumie razem z tuzin. Wszyscy sunęli obok niej, jednak nie potrafiła stwierdzić, czy żyją, czy są martwi. Mogła jedynie przypuszczać, sadząc po sposobie, w jaki leżeli, tak bezwładnie, że nie żyją.

Serce krajało się jej na ten widok. Modliła się do Boga, aby to nie była prawda. Nie potrafiła jednak otrząsnąć się z pesymizmu. Wszak, kto byłby w stanie tu przeżyć? Wciąż nie była do końca przekonana, czy jej samej to się udało.

Wleczona nieustannie przez pustynię, zamknęła oczy, a kiedy otworzyła je ponownie, dotarło do niej, że przysnęła. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło. Zrobiła się jednak późna pora, gdyż oba słońca wisały nisko na nieboskłonie. Wciąż ją wleczono. Zaczęła zastanawiać się, kim są te stworzenia. Przypuszczała, że były czymś w rodzaju pustynnych nomadów, jakimś plemieniem, któremu jakimś cudem udawało się tu żyć. Przyszło jej do głowy pytanie, w jaki sposób zdołali ją znaleźć i dokąd ją prowadzą. Z jednej strony była im wielce wdzięczna za to, że ocalili jej życie; z drugiej jednak, kto wie, czy nie zamierzają jej zabić? Przeznaczyć na główne danie podczas plemiennej wieczerzy?

Tak czy owak była zbyt osłabiona i wyczerpana by poradzić coś na to.

Otworzyła oczy po niewiadomo jak długiej chwili, wystraszona z powodu jakiegoś szelestu. Z początku brzmiało to jak odległy odgłos toczącego się po pustyni ciernistego krzewu. Kiedy jednak dźwięk ten nabrał siły i stał się bardziej natarczywy, Gwen zrozumiała, że to coś innego. Przypominało odgłos burzy piaskowej. Rozszalałej, nieustępliwej burzy piaskowej.

Kiedy zbliżyli się do niej i pochód skręcił, Gwen obejrzała się i jej oczom ukazał się widok, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie uświadczyla. Sprawił, że wszystko wywróciło się jej w żołądku, zwłaszcza, że podchodzili do niego coraz bliżej: przed nimi, może z pięćdziesiąt stóp dalej, wznosiła się ściana rozbuchanego piachu pnąca się tak wysoko, że Gwen nie była w stanie stwierdzić, czy gdzieś tam jest jej koniec. Wiatr hulał na wskroś niczym trąba powietrzna, a piasek unosił się tumanami tak gęstymi, że Gwen nie była w stanie nic dostrzec.

W ogłuszającym łoskocie skierowali się wprost ku tej ścianie wirującego piachu. Gwen nie mogła zrozumieć, dlaczego. Wydawało się jej, że zmierzają ku niechybnej śmierci.

- Zawróćcie! – próbowała wydusić z siebie.

Lecz jej głos był zbyt zachrypnięty, zbyt słaby, by ktokolwiek ją usłyszał, zwłaszcza w rozgukany wiatr. Wątpiła jednak, czy by ją posłuchali, nawet jeśli udało by im się ją usłyszeć.

Gwen poczuła, jak z każdą chwilą zbliżającą się do muru siekącego piachu, ten poczyna drapać jej skórę coraz bardziej. Nagle jednak podeszły do niej dwa stwory i narzuciły na nią długą, ciężką płachtę, przykrywając jej ciało i twarz. Zrozumiała, że ją osłaniają przed żywiołem.

Chwilę później znalazła się wewnątrz szalejącej piaskowej burzy.

Hałas był tak wielki, że pomyślała, iż za chwilę straci słuch. Zastanawiała się, jak w ogóle można to przetrzymać. Niemal natychmiast dotarło do niej, że ta płachta przynosi jej ocalenie; osłaniała jej twarz i skórę, nie pozwalając by ściana szalejącego piasku rozdarła jej ciało. Nomadzi brnęli dalej z głowami pochylonymi nisko przed nacierającym piachem, jakby robili to już setki razy.

Taszczyli ją ze sobą pośród wichury, wśród rozszalałych piasków pustyni, a Gwen zastanawiała się, czy to się kiedykolwiek skończy.

Wtem wszystko umilkło. Nareszcie. Słodka, przenajśłodsza cisza, jakiej nigdy dotąd nie doznała. Dwaj nomadzi zdjęli z niej płachtę i Gwen zauważyła, że pokonali ścianę piachu, wychynęli po jej drugiej stronie. Ale drugiej stronie czego? pomyślała.

W końcu ich pochód ustał i w tej samej chwili Gwen otrzymała odpowiedzi na wszystkie pytania. Delikatnie ułożyli ją na ziemi. Leżąc bez najmniejszego ruchu, spojrzała na niebo. Zamrugła kilkakrotnie powiekami, starając się pojąć roztaczający się przed nią widok.

Powoli jej wzrok się wyostrzył. Zobaczyła niewiarygodnie wysoką skalną ścianę pnącą się na setki stóp pod chmury. Rozciągała się w obu kierunkach, znikając za horyzontem. Zaś na szczycie strzelistego urwiska dostrzegła blanki, umocnienia, na których stały tysiące rycerzy w lśniącej od słońca zbroi.

Nie mogła tego pojąć. Jakim cudem się tu znaleźli? pomyślała. Rycerze w samym środku pustyni? Dokąd ją przyprowadzili?

I nagle, znienacka, ją olśniło. Serce zabiło jej mocniej, kiedy dotarło do niej, że znaleźli cel podróży, udało im się tu dotrzeć, przebyć całe Wielkie Pustkowia.

Więc jednak istniał.

Drugi Krąg.

ROZDZIAŁ DRUGI

Angel runęła w dół, nurkując w powietrzu twarzą skierowaną wprost ku rozszalałym wodom kotłującego się poniżej morza. Wciąż dostrzegała zanurzone tuż pod powierzchnią wody ciało Thorgrina. Był nieprzytomny, bezwładny i z każdą mijającą chwilą tonął coraz głębiej. Doskonale wiedziała, że za chwilę może już nie żyć oraz to, że gdyby nie wyskoczyła z okrętu, z pewnością nie miałby żadnych szans na przeżycie.

Była zdecydowana go uratować choćby oznaczało to utratę własnego życia, nawet jeśli miałaby umrzeć tam razem z nim. Nie potrafiła tego pojąć, ale czuła głęboką więź łączącą ją z Thorem od chwili, kiedy spotkali się po raz pierwszy na jej wyspie. Był jedyną osobą, jaką знаła, która nie okazała strachu wobec faktu, iż jest trędowata. Nie zważając na nic wziął ją w ramiona, patrzył na nią, jak na zdrowego człowieka i nigdy nie opuścił jej choćby na minutę. Czuła, że ma wobec niego wielki dług, była mu wdzięczna ponad wszystko i gotowa poświęcić dla niego życie, bez względu na konsekwencje.

Kiedy zanurzyła się w lodowatej wodzie, poczuła, jak jej skórę przebija milion ostrych niczym igła sztyletów. Woda była tak zimna, że Angel wzdrygnęła się. Wstrzymała oddech i popłynęła głębiej, i jeszcze głębiej. Otworzyła oczy w mętnej morskiej wodzie i zaczęła szukać Thora. W otaczającym ją mroku z ledwością go dostrzegła. Tonął, był coraz niżej i niżej. Angel odepchnęła się nogami zamaszyście, wyciągnęła ręce i wykorzystując swój pęd na dno, zdołała pochwycić jego rękaw.

Był cięższy niż mogła przypuszczać. Objęła go rękoma, odwróciła się i jak opętana zaczęła wymachiwać nogami, ze wszystkich sił próbując powstrzymać opadanie i unieść się ku powierzchni. Nie była ani specjalnie duża, ani silna, lecz ostatnie lata dorastania utwierdziły ją w przekonaniu, że jej nogi dysponowały siłą, jakiej reszta ciała nie miała. Trąd pozbawił jej ramiona krzepy, jednak gibkie nogi były jej atutem. Były silniejsze od niejednego mężczyzny i Angel wykorzystwała to teraz, wymachując nimi, walcząc o życie, płynąc w górę ku powierzchni. Dorastając na wyspie, jednej rzeczy nauczyła się z pewnością najlepiej, a mianowicie pływać.

Wierzyła nogami w nieprzeniknionym mroku, wznosząc się ku powierzchni, coraz wyżej i wyżej. Spojrzała w górę i dostrzegła promienie słońca przedostające się przez skotłowane fale powyżej.

No, dalej! pomyślała. Jeszcze tylko kilka stóp!

Była wyczerpana i nie mogła już dłużej wstrzymywać oddechu. Siłą woli odepchnęła wodę jeszcze mocniej – i tym jednym, ostatnim wymachem nóg wystrzeliła znienacka na powierzchnię.

Z wielkim trudem złapała oddech, po czym uniosła Thora. Trzymała go w objęciach, wierzgając bezustannie nogami, dzięki czemu utrzymywali się na powierzchni. Wystawiła jego głowę nad wodę, lecz wciąż zdawał się nieprzytomny. Przyszło jej na myśl, że może utonął.

- Thorgrin! – krzyknęła. – Obudź się!

Chwyciła go od tyłu, oplótła ramionami jego brzuch i pociągnęła mocno do siebie, raz po raz, tak jak robił to jeden z jej trędowatych przyjaciół, kiedy ratował innego tonącego. Uczyniła teraz to samo, napierając słabymi rączkami na przepoń Thora.

- Proszę, Thorgrinie – płakała. – Proszę, żyj! Żyj dla mnie!

Wtem usłyszała zbawienny odgłos kaszlu, po którym Thor zwymiotował wodę. Uszczęśliwiona Angel zrozumiała, że Thor powrócił. Zwrócił całą morską wodę, po czym dławiony torsjami zaczął kasłać. Angel ulżyło ogromnie.

Nawet lepiej. Thor zdawał się odzyskiwać przytomność. Cały ten koszmar zdawał się w końcu wybudzić go z głębokiego letargu. Ożyła w niej nadzieja, że być może Thor znajdzie w sobie teraz siły, by odeprzeć piratów i uciec z nią w jakieś bezpieczne miejsce.

Ledwie ta myśl przemknęła jej przez głowę, kiedy nagle poczuła wokół siebie ciężką linę, która opadła z nieba i zacisnęła się na niej i Thorgrinie.

Podniosła wzrok i ujrzała stojących nad nimi podrzynaczy. Spoglądali na nich z burty, podciągając wysoko linę, dźwigając ich niczym rybę w sieci. Angel walczyła, mocując się z liną. Miała nadzieję, że Thor postępuje podobnie, lecz ten, choć kasał wciąż, nadal leżał bezwładnie. Najwyraźniej nie miał jeszcze dość sił, by się bronić.

Angel poczuła, jak oboje powoli unoszą się w górę, wciągani coraz wyżej. Morska woda ściekała z sieci, którą piraci przyciągali do siebie, coraz bliżej okrętu.

- NIE! – wrzasnęła. Walczyła, cały czas starając się oswobodzić.

Jeden z podrzynaczy posłużył się długim żelaznym hakiem i szarpnął nimi gwałtownie w kierunku pokładu.

Przelecieli w powietrzu. Któryś pirat odciął linę. Spadli z wysokości dobrych dziesięciu stóp, po czym uderzyli o pokład z impetem i przeturlali się dalej. Angel poczuła rozdzierający ból w boku. Naparła na linę, próbując uwolnić się z jej uścisku.

Lecz jej wysiłek był zbyteczny. Po chwili rzuciło się na nich kilku piratów, przygwoździło do pokładu, po czym wyciągnęło ich z sieci. Angel poczuła, jak chwytają ją chropowate łapska, jak wykręcają jej nadgarstki za plecy i związują szorstką liną. Potem podciągnęły ją do pozycji stojącej i stała tak, ociekając morską wodą. Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu.

Powodowana troską o Thorgrina obejrzała się i zauważyła, że jego również spętali. Był nadal zamroczony, błędząc raczej w krainie snu. Angel potknęła się, kiedy piraci pociągnęli ich razem za sobą przez pokład.

- To cię oduczy wszelkich prób ucieczki – warknął któryś.

Angel spojrzała w górę i zobaczyła przed sobą drewniane drzwi prowadzące na niższy pokład. Otworzyły się i jej wzrok utonął w mrocznej ładowni statku. W następnej chwili, zanim zdążyła się zorientować, piraci cisnęli ją i Thora do środka.

Poleciała na łeb, na szyję, twarzą w mroczne czeluście. Uderzyła głową o drewnianą podłogę z wielką siłą, padając na twarz. Wkrótce potem poczuła na sobie ciężar Thora, który wylądował na niej, a następnie potoczył się wraz z nią w kąt.

Drewniana kłapa zatrzasnęła się nad nimi z hukiem, całkowicie odcinając dopływ światła. Oddychając z trudem w ciemnościach i zastanawiając się, gdzie też to wrzucili ją piraci, usłyszała szczęk ciężkiego łańcucha, którym zaryglowali drzwi.

Wtem, w odległym krańcu ładowni, rozbłysło słoneczne światło. Zauważyła, że piraci otworzyli drewniany luk okratowany żelaznymi prętami. W otworze pojawiło się kilka twarzy. Uśmiechały się szyderczo, niektóre prychnęły, po czym zniknęły ponownie. Zanim jednak i ten luk zatrzasnął się z hukiem, Angel usłyszała w mroku pokrzepiający głos.

- Już w porządku. Nie jesteś tu sama.

Wystraszyła się, zaskoczona, ale również poczuła ulgę. Zdziwiła się wielce, kiedy obróciwszy się, ujrzała siedzących w ciemnościach ze związanymi za plecami rękoma przyjaciół. Byli tam Reece i Selese, Elden i Indra, O'Connor oraz Matus. Wszyscy zostali pojmاني, ale przynajmniej wciąż żyli. Była przecież niemal przekonana, że wszyscy zginęli na morzu i teraz ogarnęło ją poczucie wielkiej ulgi.

Ale też ogarnęło ją złe przeczucie: jeżeli wszyscy ci wspaniali wojownicy zostali więźni do niewoli, jak to sobie tłumaczyła, to czy istniała jakakolwiek szansa, że którekolwiek z nich zdoła umknąć stąd z życiem?

ROZDZIAŁ TRZECI

Erec siedział na drewnianym pokładzie własnego statku oparty plecami o maszt. Miał związane z tyłu ręce i spoglądał z konsternacją na widok przed sobą. Pozostałe okręty jego floty unosiły się rozproszone na spokojnych oceanicznych wodach. Wszystkie one trafiły we wrogie ręce pod osłoną nocy, kiedy natrafiły na blokadę ustawioną przez tysiące okrętów Imperium. Wszystkie stały na kotwicy rozświetlone łuną dwóch księżyców w pełni. Na masztach powiewała flaga ich ojczyzny, zaś imperialne statki nosiły czarne bandery typowe dla Imperium. Widok ten był przygnębiający. Skapitulował, by ocalić swych ludzi od pewnej śmierci – lecz teraz znajdowali się na łasce Imperium. Byli zwykłymi więźniami, dla których nie było już ratunku.

Widział żołnierzy Imperium na każdym jego okręcie. Jego własny również zajęli. Pełnili wartę – po tuzinie na każdym statku, spoglądając sennie na ocean. Jego ludzie zaś stali na statkach w rzędzie całymi setkami, ze związanymi za plecami rękoma. Na każdym statku przewyższali liczebnie imperialne strażę, a jednak pilnujący ich wojownicy wyraźnie nic sobie z tego nie robili. Zważywszy na to, że wszyscy więźniowie byli związani, tak naprawdę nie potrzeba było nikogo do pilnowania, nawet tego tuzina. Ludzie Ereca poddali się. Blokada ich flotyli przypominała im dobitnie, iż nie mają dokąd się udać.

Erec spojrział ponownie na ten widok i poczuł wyrzuty sumienia. Nigdy jeszcze nie poddał się, ani razu w życiu, i ta konieczność sprawiała mu teraz niewysłowny ból. Musiał sam siebie napominać, iż jest teraz dowódcą, a nie zwykłym żołnierzem piechoty, i że ciąży na nim odpowiedzialność za wszystkich jego ludzi. Biorąc pod uwagę, jak bardzo siły Imperium przewyższały ich liczebnie, nie mógł pozwolić, by wyróżnili wszystkich jego ludzi. Był świadom, że za sprawą Krova wpadli w zasadzkę i podjęcie walki w tych warunkach byłoby daremne. Ojciec uczył go, że pierwszą cechą dobrego dowódcy jest wiedzieć, kiedy przystąpić do walki, a kiedy złożyć broń, walczyć kiedy indziej i innymi sposobami. To brawura i duma zaprowadziła większość ludzi do grobu, jak twierdził. Dobra rada, jednak jakże trudna w realizacji.

- Ja bym jednak walczył – dobiegł go z boku czyjś głos, niczym głos jego sumienia.

Erec obejrzał się i zobaczył swego brata, Stroma, uwięzowanego wraz z nim do masztu. Jak zwykle, wyglądał na niewzruszonego i pewnego siebie pomimo okoliczności.

Erec zmarszczył brwi.

- Tak, walczyłbyś i teraz wszyscy nasi ludzie byliby martwi – odparł.

Strom wzruszył ramionami.

- Tak czy owak polegniemy, bracie – powiedział. – W Imperium panuje barbarzyństwo. Po mojemu, przynajmniej zginęlibyśmy w chwale. A tak zarzną nas ci tutaj, ale nie pozwolą stać – ich miecze opadną na nasze gardła, gdy będziemy leżeć.

- Albo jeszcze gorzej – powiedział jeden z poddowódców Ereca, przywiązany do masztu obok Stroma – zrobią z nas niewolników i już nigdy nie zaznamy wolności. Czy po to ruszyliśmy za tobą?

- Nie wiecie tego na pewno – powiedział Erec. – Nikt nie wie, co uczyni Imperium. Przynajmniej wciąż żyjemy. Mamy jakieś szanse. Inny wybór gwarantował jedynie śmierć.

Strom spojrział na Ereca z rozczarowaniem.

- Nasz ojciec nigdy nie podjąłby takiej decyzji.

Erec poczerwieniał na twarzy.

- Nie wiesz, co uczyniłby ojciec.

- Nie? – zaripostował Strom. – Całe życie z nim mieszkalem, wyrosłem przy nim na Wyspach, podczas gdy ty hasałeś sobie po Kręgu. Ledwie go znałeś. Zatem powtarzam, że nasz ojciec podjąłby walkę.

Erec pokręcił głową.

- Łatwo mówić zwykłemu żołnierzowi – odparł. – Gdybyś dowodził, twe słowa inaczej by brzmiały. Znałem naszego ojca na tyle, by wiedzieć, że uratowałby swych ludzi za wszelką cenę. Nie był ani lekkomyślny, ani porywczy. Był dumnym człowiekiem, ale nie nadętym. Nasz ojciec, kiedy był piechur, za młodu, tak jak ty teraz, może i walczyłby; lecz jako król wykazałby roztropność i poszedł w bój innym razem. Przyjdzie czas, że zrozumiesz niektóre sprawy Stromie, kiedy dorośniesz i staniesz się mężczyzną.

Tym razem to Strom poczerwieniał.

- Jest we mnie więcej z mężczyzny niż w tobie.

Erec westchnął.

- Nie wiesz tak naprawdę, co niesie ze sobą bitwa – powiedział. – Dopóki jej nie przegrasz. Dopóki nie zobaczysz, jak twoi ludzie umierają na twoich oczach. Nigdy nie przegrałeś. Przez całe życie żyłeś w zaciszu wyspy i przez to tak wiele w tobie niepokromionej pychy. Kocham cię, jak na brata przystało – lecz nie jako dowódcę.

Zapadła pełna napięcia cisza i nastąpiło coś w rodzaju rozejmu. Erec podniósł wzrok i spojrzał na bezkresne, gwiazdzone niebo. Analizował w myślach całą tę sytuację. Swego brata darzył prawdziwą miłością, jednak tyle razy dochodziło między nimi do sprzeczki, niemal o wszystko; po prostu nie potrafili spojrzeć na nic z tej samej perspektywy. Erec poczekał, aż ochłonie, wziął głęboki oddech, po czym zwrócił się wreszcie do Stroma.

- Nie chodzi mi o to, że mamy się poddać – dodał ze spokojem. – Ani jako więźniowie, ani też jako niewolnicy. Musisz spojrzeć na to z szerszej perspektywy: poddanie się jest czasami pierwszym krokiem do wydania bitwy. Nie zawsze stajesz do walki z wrogiem z dobytym mieczem: czasami wystarczą same ręce. Cios mieczem można zadać potem.

Strom spojrzał na niego zaintrygowany.

- Zatem jak miarkujesz wydostać nas z tych tarapatów? – spytał. – Straciliśmy oręż. Jesteśmy jeńcami, mamy związane ręce i nie jesteśmy w stanie wykonać żadnego ruchu. Otacza nas flota złożona z tysiąca okrętów. Nie mamy żadnej szansy.

Erek pokręcił głową.

- Nie dostrzegasz pełnego obrazu – powiedział. – Nikt z naszych jeszcze nie poległ. Wciąż mamy swe statki. Może i jesteśmy jeńcami, ale na naszych okrętach widzę nieliczne straże Imperium – co oznacza, że znacznie przewyższamy ich liczebnie. Potrzebna jedynie iskra, która wznieci ogień. Możemy wykorzystać element zaskoczenia – i wówczas uciec.

Strom pokręcił głową.

- Nie pokonamy ich – powiedział. – Mamy skrępowane ręce, jesteśmy bezradni, zatem liczebność nic tu nie znaczy. A nawet jeśli, okręty, które nas otaczają, zmiażdżyłyby nas w okamgnieniu.

Erec odwrócił się, ignorując brata. Nie miał ochoty znosić jego pesymizmu. W zamian, obejrzał się na siedzącą kilka stóp dalej Alistair, przywiązaną do masztu po drugiej stronie. Serce mu się krajało na jej widok. Siedziała zniewolona, i to za jego przyczyną. Sam nie miał nic przeciw niewoli – taka była cena wojny. Jednak dla niej taki los – świadomość tego łamała mu serce. Oddałby wszystko, byle nie widzieć jej w takim stanie.

Był jej taki wdzięczny; wszak ocaliła im życie kolejny raz, wtedy w Smoczym Grzbiecie, kiedy walczyła z morskim potworem. Wiedział, że nadal była wyczerpana po tym wysiłku. Zdawał sobie sprawę, że nie jest w stanie przywołać swej mocy. Ale wiedział też, że jest ich jedyną nadzieją.

- Alistair – zawołał ponownie. Robił to już zresztą przez całą noc, co kilka minut. Przechylił się i musnął ją stopą trącając delikatnie. Zrobiłby wszystko, byle mógł zrzucić więzy, podejść do niej, przytulić i uwolnić ją. Owa bezradność, kiedy tak leżał tuż obok niej, była najgorszym uczuciem; ta niemoc zrobienia czegokolwiek.

- Alistair – zawołał. – Proszę, to ja, Erec. Obudź się. Błagam. Jesteś mi potrzebna – jesteś potrzebna nam.

Czekał, jak przez całą już noc zresztą, tracąc nadzieję. Nie wiedział, czy Alistair powróci kiedykolwiek do niego po jej ostatniej mitrędze.

- Alistair – błagał raz po raz. – Proszę. Obudź się. Zrób to dla mnie.

Czekał i obserwował ją, ale ani drgnęła. Leżała bez ruchu, pozbawiona przytomności, taka piękna w księżycowej poświacie. Erec próbował siłą woli przywołać ją do życia.

Odwrocił wzrok, spuścił głowę i zamknął oczy. Może jednak rzeczywiście wszystko przepadło. Nie był po prostu w stanie w tej chwili nic uczynić.

- Jestem tu – dobiegł go cichy głos, który rozbrzmiał echem w mroku.

Erec podniósł z nadzieją wzrok i zobaczył, jak Alistair spogląda na niego. Serce zabiło mu mocniej, przepełnione miłością i radością. Wyglądała na ledwie żywą. Patrzyła na niego sennie spod przymkniętych powiek.

- Alistair, kochana – powiedział gorliwie. – Jesteś mi potrzebna. Tylko ten jeden, ostatni raz. Nie dokonam tego bez ciebie.

Zamknęła oczy na długą chwilę, po czym otworzyła je ponownie, acz nieznacznie.

- Czego ci trzeba? – spytała.

- Nasze pęta. Musisz nas z nich uwolnić. Nas wszystkich.

Alistair ponownie zamknęła oczy. Minęła długa chwila, podczas której do uszu Ereca docierał jedynie odgłos wiatru muskającego okręt oraz uderzających o burtę fal. W powietrzu zapanowała pełna napięcia cisza. Z każdą kolejną chwilą Erec utwierdzał się w przekonaniu, że Alistair nie otworzy powtórnie oczu.

Wreszcie, z wolna, spostrzegł, że jej powieki podnoszą się niemrawo.

Z gargantuicznym wysiłkiem otworzyła oczy, podniosła głowę i rozejrzała się po statkach, chłonąc szczegóły. Erec zauważył też, że jej oczy zmieniają barwę, jarzą się jasnym błękitem, rozjaśniając noc niczym dwie pochodnie.

Wtem więzy Alistair opadły. Erec usłyszał, jak pękły w mroku. Potem uniosła przed siebie dłonie, które promieniowały jaskrawym światłem.

Chwilę później Erec poczuł za sobą, wzdłuż nadgarstków, intensywne ciepło. Ręce rozgrzały się mu niewiarygodnie, aż w pewnej chwili zaciśnięte na nich więzy poczęły się rozluźniać. Jedno włókno za drugim, zaczęły pękać i po chwili Erec zdołał własnymi siłami rozerwać to, co pozostało z jego pęt.

Podniósł dłonie i przyjrzał się im z niedowierzaniem. Był wolny. Naprawdę wolny.

Usłyszał trzask liny, a gdy obejrzał się, zobaczył, że Strom również uwolnił się z więzów. Po całym okręcie, i dalej na innych statkach, poniósł się odgłos pękającej liny. Wszyscy ludzie Ereca, jeden po drugim, zrzucaли pękające okowy. Byli wolni.

Spojrzeli na Ereca, który dał im znak, podnosząc palec do ust, by zachowali ciszę. Strażnicy niczego nie zauważyli, stojąc odwróceny do nich tyłem, przy relingu. Wciąż żartowali sobie na głos, spoglądając w mrok. Żaden z nich nie pełnił oczywiście warty, jak należy.

Erec skinął na Stroma i pozostałych, by ruszyli za nim i cichaczem, z Erekiem na przedzie, podkradli się do strażników.

- Teraz! – rozkazał Erec.

Ruszył z miejsca, gnając wraz z innymi jak na komendę przed siebie, aż dopadli wartowników. Kiedy znaleźli się blisko nich, niektórzy strażnicy, zaalarmowani odgłosem skrzypienia pokładu, obrócili się raptownie i sięgnęli po miecze.

Erec jednakże, jak również pozostali jego ludzie, byli zahartowanymi w boju wojami, którzy desperacko pragnęli skorzystać z tej jedynej szansy na ocalenie. Pomknęli przez pokład chyłkiem i ubiegli strażników. Strom skoczył na jednego, pochwycił jego dłoń, zanim ten zdążył wykonać zamach. Erec zaś sięgnął do jego pasa, wydobyl sztylet i poderżnął mężczyźnie gardło. Strom zdążył wyrwać mu miecz, zanim ten osunął się na pokład. Mimo, iż tak wiele ich dzieliło, bracia współgrali ze sobą gładko, jak zwykle zresztą, walcząc jak jeden mąż.

Ludzie Ereca odebrali strażnikom oręż i wycięli ich własnymi mieczami i sztyletami. Inni rzucili się bez ogródek na pozostałych żołnierzy Imperium, zbyt powolnych, by uniknąć wyrzucenia przez reling do morza.

Erec rozejrzał się po pozostałych okrętach i zobaczył, jak jego podkomendni wyrzynają strażę na lewo i prawo.

- Odciąć kotwice! – zarządził Erec.

Jego ludzie poczęli przecinać liny trzymające ich okręty na uwięzi i wkrótce Erec mógł poczuć znane sobie dobrze wrażenie kołysania pokładu pod nogami. Nareszcie byli wolni.

Rozbrzmiały rogi, wybuchły krzyki i zapłonęły pochodnie, kiedy koniec końców liczniejsza flota Imperium połapała się, w czym rzecz. Erec odwrócił się i spojrzał na blokadę ustawioną z imperialnych okrętów, które stały mu na drodze na otwarte morze. Doskonale zdawał sobie sprawę, że czeka go największa bitwa jego życia.

Lecz nie odczuwał lęku. Jego ludzie żyli, byli wolni i mieli jakąś szansę.

Tym razem jednak zamierzali zginąć w walce.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Darius odwrócił zbroczoną krwią twarz i ujrzał żołnierza Imperium, który wyciął właśnie z tuzin jego ludzi, pędząc na potężnym karym wierzchowcu. Wróg uniósł miecz, większy od wszystkich, jakie Darius widział w swoim życiu, i jednym czystym cięciem pozbawił głów całą dwunastkę.

Zewsząd dobiegały Dariusa krzyki jego ludzi, wycinanych w pień na lewo i prawo. To było nieprawdopodobne. Imperialni rozdawali potężne zamachy i jego ludzie padali tuzinami, potem całymi setkami – aż w końcu tysiącami.

W pewnej chwili Darius wyładował na podwyższeniu. Jak daleko okiem sięgnął, wszędzie leżały tysiące trupów. Cała jego armia spoczywała w stosach śmierci pod murami Volusii. Nie pozostał nikt przy życiu. Ani jeden człowiek.

Darius zawył przeciągle z rozpacz i bezradności. Poczuł, jak imperialni żołnierze chwytają go od tyłu i odciągają krzyczącego w mrok.

Poderwał się ze snu, gwałtownie wdychając powietrze. Rozejrzał się wokoło, starając się zrozumieć, co się dzieje, co jest snem, a co rzeczywistością. Usłyszał szcęk łańcucha. Powoli, kiedy wzrok przywykł do panujących ciemności, pojął, skąd dobiega ten dźwięk. Spuścił wzrok i ujrzał swe nogi skute ciężkim żelazem. Poczuł ból w całym ciele, kłusanie świeżych ran, i dotarło do niego, że leży cały w ranach pokrytych zeschniętą krwią. Każdy ruch wiązał się z cierpieniem. Odnosił wrażenie, że dostał cięgi od całej milionowej armii. Jedno z jego oczu było tak spuchnięte, że ledwie przez nie widział.

Powoli obrócił się i zlustrował otoczenie. Z jednej strony odczuł ulgę, że to był jedynie sen – a jednak, kiedy dostrzegł więcej szczegółów, przypomniał sobie wszystko i ból powrócił. To był jednak sen, choć było w nim wiele prawdy. Falami napłynęły wspomnienia stoczonej bitwy z wojskami Imperium pod bramą Volusii. Przypomniał sobie o zasadzce, o tym, jak zamknęły się bramy, jak otoczyły ich imperialne wojska – rzeź wszystkich jego ludzi. Zdradę.

Usiłował przypomnieć sobie wszystko. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, po tym jak zabił kilku imperialnych żołnierzy, był cios w głowę, który ktoś zaserwował mu tępym końcem topora.

Podniósł dłonie, dzwoniąc łańcuchami i dotknął ogromnego obrzęku na głowie, który ciągnął się aż do spuchniętego oka. To nie był żaden sen. To wydarzyło się naprawdę.

Kiedy dotarła do niego cała prawda, poczuł niewypowiedziany ból i żal. Jego ludzie, wszyscy ci, których kochał, ponieśli śmierć. I to za jego przyczyną.

Rozejrzał się gorączkowo w przytłumionym świetle dnia, szukając jakichkolwiek oznak pobratymców, jakichkolwiek ocalałych. Niewykluczone, że wielu przeżyło i podobnie jak on, zostali wzięci do niewoli.

- Rusz się! – dobiegła go sroga komenda z mroku.

Darius poczuł szorstkie dłonie pod pachami, które podniosły go do pozycji stojącej. Później oberwał butem w kręgosłup.

Jęknął z bólu i zatoczył się w przód, dzwoniąc łańcuchami, po czym wpadł na stojącego przed nim chłopaka. Ten wziął zamach i zdzielił Dariusa łokciem w twarz, przez co Darius zatoczył się w tył.

- Nie dotykaj mnie więcej – warknął chłopak.

Spoglądał na niego koszmarnie wyglądający chłopczyna, również zakuty w kajdany. Darius zdał sobie wówczas sprawę, że stoi skuty razem z licznym rzędem chłopców, ciągnącym się w obie strony. Ich dłonie i stopy połączone były długimi, ciężkimi żelaznymi łańcuchami. Stali stłoczeni w zaciemnionym, kamiennym tunelu. Zewsząd opadały na nich ciosy i kopniaki zadawane przez imperialnych nadzorców.

Darius przyjrzał się uważnie wszystkim twarzom, ale nie rozpoznał żadnej.

- Darius! – wyszeptał ktoś ponaglająco. – Tylko nie przewróć się znowu! Bo cię zabiją!

Serce Dariusza zabiło mocniej na dźwięk znajomego głosu. Odwrócił się i dostrzegł za sobą starych przyjaciół, Desmonda, Raja, Kaza oraz Luziego. Wszyscy czterej stali w kajdanach, wyglądając równie źle, jak i on prawdopodobnie. Wszyscy spoglądali na niego z wyraźną ulgą, ucieszeni na jego widok wciąż wśród żywych.

- Rzeknij coś jeszcze – syknął nadzorca do Raja – a odejmę ci jęzor.

Widząc przyjaciół, Dariusowi spadł kamień z serca, jednakże zastanawiał się również nad losem niezliczonej grupy innych, którzy walczyli i służyli pod jego komendą, którzy ruszyli za nim na ulice Volusii.

Nadzorca przesunął się dalej wzdłuż rzędu i kiedy tylko znikł z zasięgu wzroku, Darius odwrócił się i odrzekł szeptem.

- Co z innymi? Przeżył ktoś jeszcze?

Modlił się w duchu, by okazało się, że przetrwały całe setki jego pobratymców, że są gdzieś tam i czekają, być może uwięzieni.

- Nie – dobiegła go czyjaś zdecydowana odpowiedź. – Zostaliśmy tylko my. Wszyscy inni nie żyją.

Jakby mu kto zadał cios w brzuch. Poczuł, że zawiódł wszystkich i wbrew sobie uronił łzę, która spłynęła mu po policzku.

Miał chęć zaszlochać. W pewnej mierze chciał nawet umrzeć. Z ledwością pojmował to wszystko: wszyscy ci wojownicy pochodzący z tyłu zniewolonych wiosek... Zapowiadał się początek największego powstania wszech czasów, który na zawsze już miał zmienić oblicze Imperium.

A wszystko skończyło się masową rzezią.

Wszelkie nadzieje na wolność zostały zaprzepaszczone.

Szedł przed siebie, obolały od odniesionych ran i siniaków, od wpijających się w ciało kajdan. Rozejrzał się wokoło, zastanawiając się, gdzie jest, kim są pozostali więźniowie i dokąd ich prowadzą. Kiedy zlustrował ich wzrokiem, dotarło do niego, że wszyscy są mniej więcej w jego wieku oraz że wszyscy wydają się być w nadzwyczaj dobrej formie. Jakby oni wszyscy byli wojownikami.

Minęli zakręt ciemnego, kamiennego tunelu i ni stąd, ni zowąd spowił ich blask słonecznego światła, sączący się przez żelazne kraty gdzieś dalej, na końcu tunelu. Nadzorca popchnął brutalnie Dariusza, dźgając go przy tym pałką w bok, i ten poleciał w przód wraz z pozostałymi. Kraty otworzyły się i Darius wylądował na zewnątrz, ponaglony kolejnym kopniakiem.

Zachwiał się, tak jak i pozostali, i wraz z nimi padł na ziemię. Wypluł piach z ust i uniósł dłonie dla ochrony przed ostrym słonecznym blaskiem. Inni potoczyli się na niego, zaplątani w kajdany.

- Na nogi! – wrzasnął jeden z nadzorców.

Ruszyli od jednego chłopaka do drugiego, dźgając ich kijami, aż zdołali wstać. Darius zachwiał się ponownie wraz z całą resztą przykutą do jego ciała, starając się zachować równowagę.

Stali twarzami zwrócenii ku centralnemu miejscu okrągłego, ziemnego dziedzińca, mierzącego może z pięćdziesiąt stóp średnicy, który otaczały wysokie kamienne mury z kratami blokującymi każde z wyjść. Na środku pola stał jeden imperialny nadzorca. Spoglądał na nich spode łba. Najwyraźniej był tu dowódcą. Przytłaczał wszystkich swoją posturą i niespotykanym wzrostem. Miał żółtawe rogi i skórę, jego oczy błyszczały czerwienią, zaś na gołym torsie przeżyły się ogromne mięśnie. Jego nogi okrywał czarny pancerz współgrający z czarnym obuwiem, zaś na nadgarstkach błyszczały nabijane kolcami skórzane opaski. Nosił insygnia oficera Imperium. Ruszył przed siebie i zaczął przyglądać się więźniom z dezaprobatą.

- Jestem Morg – powiedział mrocznym, tubalnym i pełnym autorytetu głosem. – Będziecie zwracać się do mnie per pan. Jestem waszym nowym naczelnikiem. Waszym całym życiem.

Oddychał ciężko z każdym krokiem, a brzmiało to, jakby warczał.

- Witajcie w waszym nowym domu – ciągnął dalej. – To znaczy waszym chwilowym domu. Jako że zanim księżyc wstanie, wszyscy będziecie już martwi. Prawdę mówiąc, z wielką przyjemnością będę przyglądał się, jak giniecie.

Uśmiechnął się.

- Tak długo jak tu jesteście – dodał – pozostaniecie jednak przy życiu. Będziecie żyć, by dostarczyć mi rozrywki. Będziecie żyć, by zadowalać innych. By Imperium mogło się wami nacieszyć. Jesteście teraz figuzynekami. Nasza przyjemność oznacza waszą śmierć. A zadacie ją należycie.

Wyszczerzył zęby w pełnym okrucieństwa uśmiechu, po czym ruszył dalej, obchodząc więźniów i mierząc ich wzrokiem uważnie. Gdzieś z daleka dobiegł ich głośny krzyk i ziemia zadrżała pod nogami Dariusa. Brzmiało to tak, jakby zagrzmiały setki tysięcy mieszkańców wiedzione żądzą mordy.

- Słyszycie ten krzyk? – spytał. – To okrzyk śmierci. Żądy mordy. Tam za murami mieści się wielka arena. Będziecie walczyć na niej przeciwko innym. Będziecie walczyć sami. Aż do chwili, kiedy nikt nie zostanie przy życiu.

Westchnął.

- Bitwa składa się z trzech rund – dodał. – W ostatniej, jeśli ktokolwiek z was ją przetrwa, otrzyma wolność. Otrzyma możliwość stoczenia boju na najwspanialszej arenie ze wszystkich. Ale nie łudźcie się za bardzo: nikt jak dotąd nie żył tak długo.

- Szybka śmierć nie będzie wam dana – dodał. – Jestem tu, by tego dopilnować. Chcę, byście umierali powoli. Chcę, by wszyscy mieli dzięki wam solidną rozrywkę. Nauczycie się walczyć, i to walczyć jak się zowie, by wydłużyć nasz spektakl. Nie jesteście już zwykłymi ludźmi. Nie jesteście niewolnikami. Nie dorastacie im nawet: jesteście gladiatorami. Przyjmijcie waszą nową, i ostateczną, rolę. Nie zajmie wam dużo czasu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Volusia maszerowała przez pustynię, a za nią podążały setki tysięcy jej ludzi. Odgłos ich zgodnego kroku niósł się pod same niebo. W jej uszach brzmiał on słodko niczym echa rewolucji, upragnionego zwycięstwa. Rozejrzała się po horyzoncie i z wielką satysfakcją stwierdziła, iż stwardniała, piaszczystą skorupę ziemi poza murami stolicy Imperium wyścielają trupy. Całe tysiące, leżąc bezładnie w idealnym bezruchu, na plecach, jakby powaliła ich ogromna fala przyływu, spoglądały na niebo, cierpiąc katusze.

Volusia wiedziała jednak, że to nie sprawka jakiejś fali, a dzieło Voków, jej czarnoksiężników. Rzucili potężne zaklęcie i wybili tych, którzy sądzili, że mogą wciągnąć ją w zasadzkę i zadać śmierć.

Uśmiechnęła się z wyższością na widok własnego dzieła, napawając się swym dniem zwycięstwa, tym, iż kolejny raz przechytrzyła swych niedoszłych oprawców. Ci wielcy przywódcy Imperium, tacy wspaniali, ludzie, których nikt jak dotąd nie pokonał, byli ostatnią przeszkodą stojącą jej na drodze do stolicy. I to ci wielcy imperialni przywódcy, ci, którzy mieli śmiałość przeciwstawić się Volusii, którzy sądzili, że są od niej sprytniejsi – wszyscy polegli.

Volusia szła między nimi, czasami obchodząc ciała, czasami krocząc ponad nimi, kiedy indziej znowu, kiedy przyszła jej ochota, stąpając wprost po nich. Czerpała wielką przyjemność, czując ciała swych wrogów pod podszewami. Znowu poczuła się jak dziecko.

Podniosła wzrok i daleko przed sobą dostrzegła zabudowania stolicy wraz z jej ogromną, błyszczącą w charakterystyczny sposób kopułą. Masywne, okalające miasto mury pięły się na setki stóp. Na ich tle zauważyła wejście, a w nim strzeliste złote wrota. Przeszył ją dreszcz, kiedy na jej oczach ziszczało się przeznaczenie. Nic już nie stało między nią, a ostatecznym szczeblem władzy. Żadni politykierzy, ani przywódcy, czy wojskowi, którzy mogliby rościć prawo do władania Imperium. Długi przemarsz, przejmowanie miast jednego za drugim, przez tyle księżyców, gromadzenie sił bitewnych w każdej kolejnej osadzie – wszystko to doprowadziło ją tutaj. Za tymi murami, za tymi lśniącymi złotymi wrotami spoczywała jej ostatnia zdobycz. Wkrótce będzie tam, by zasiąść na tronie mocy, a kiedy to nastąpi, nikt już jej nie powstrzyma. Przejmie dowodzenie wszystkimi armiami Imperium, wszystkimi prowincjami i krainami, czterema rogami i dwoma szpicami, aż w końcu każde stworzenie w Imperium obwoła ją – kobietę z ludzkiej rasy – najwyższym dowódcą.

O ile nie bardziej spektakularnym tytułem, będą musieli zwracać się do niej Bogini.

Na samą tę myśl zareagowała uśmiechem. Zamierzała wnieść posągi na swą cześć w każdym mieście, przed każdym przybytkiem mocy, nazwać święta swoim imieniem, sprawić, by jedni pozdrawiali drugich jej imieniem, by wszystkie inne popadły w Imperium w niepamięć.

Maszerowała na czele swej armii w porannych promieniach obu słońc, taksując nieprzerwanie złote wrota. Dotarło do niej, iż nadchodzi jedna z najbardziej doniosłych chwil w jej życiu. Czuli się niepokonani – zwłaszcza teraz, kiedy zginęli wszyscy zdrajcy spośród szeregow jej armii. Jakąż głupotą wykazali się sądząc, że jest taka naiwna, że wpadnie w ich zasadzkę z powodu swego młodego wieku. Ot, na tyle przydały się im długie lata życia – zobaczcie, do czego ich doprowadziły. Zyskali tylko wczesną śmierć, gdyż nie docenili jej mądrości – mądrości większej nawet od ich własnej.

Aczkolwiek, kiedy szła dalej i przyglądała się ciałom żołnierzy Imperium rozrzuconym po pustyni, odezwała się w niej pewna obawa. Dotarło do niej, że nie było ich znowu tak wielu, ile powinno. Zaledwie kilka tysięcy, a nie setki tysięcy, jakich spodziewała się ujrzeć. Z pewnością nie był to trzon imperialnej armii. Czyżby przywódcy nie sprowadzili ze sobą wszystkich sił? A jeśli nie, to gdzie w takim razie teraz byli?

Przyszło jej coś na myśl: czy w obliczu śmierci przywódców, stolica Imperium nadal może się bronić?

Kiedy podeszła bliżej do bram stolicy, skinęła na Vokina, by wystąpił przed armię, po czym zatrzymała pochód.

Jak jeden mąż, żołnierze stanęli za nią murem i po chwili pustynia zastygła w porannej ciszy. Nie zakłócało jej nic. Słysząc było jedynie odgłos podmuchów wiatru i toczącego się gdzieś ciemnego krzewu. Volusia przyjrzała się ogromnym zamkniętym na cztery spusty wrotom. Chłonęła wzrokiem rzeźbione w złocie wzory, znaki i symbole opowiadające o starożytnych bitwach na ziemiach Imperium. Drzwi znane były w całym Imperium. Ponoć ich wykucie zajęło całe sto lat, a grubości miały dwanaście stóp. Była to oznaka potęgi, mająca reprezentować wszystkie krainy Imperium.

Volusia stała oddalona od nich o zaledwie pięćdziesiąt stóp. Nigdy wcześniej nie była tak blisko bramy wejściowej stolicy i teraz stała jak urzeczona – będąc pod wrażeniem tego, co sobą reprezentowały. Były nie tylko symbolem siły i trwałości, ale też arcydziełem, starożytnym dziełem sztuki. Pragnęła wyciągnąć dłoń i dotknąć tych złotych drzwi, musnąć wyrzeźbione obrazy.

Wiedziała jednakże, że jeszcze nie przyszła na to pora. Przyjrzała się im i poczuła, jak w jej wnętrzu rodzi się jakieś złe przecucie. Coś było nie takt. Nikt ich nie strzegł. I panowała zbyt dojmująca cisza.

Podniosła wzrok wysoko przed siebie i na murach, pośród blanek, dojrzała ich obsadę. Powoli w zasięgu jej wzroku pojawili się żołnierze Imperium. Stawali w rzędzie i spoglądali w dół, trzymając w pogotowiu napięte łuki.

Pośród nich zaś stał generał Imperium. On również spoglądał w dół.

- Postąpiłaś niemądrze, podchodząc tak blisko – zagrmiał tubalnym głosem. – Weszliście w zasięg naszych łuków i włócznie. Jedno kiwnięcie mego palca, a zginiecie wszyscy w jednej chwili.

- Lecz okażę wam łaskę – dodał. – Każ swym armiom złożyć broń, a pozwolę wam żyć.

Volusia podniosła na niego wzrok. Jego twarz, twarz samotnego dowódcy pozostawionego na stanowisku obrony stolicy, rysowała się niewyraźnie na tle słońca. Spojrzała na wały na jego ludzi. Wszyscy stali z utkwionym w niej wzrokiem i łukami gotowymi do strzału. Wiedziała, że nie żartował.

- To ja daję wam szansę, byście to wy złożyli broń – odchrząknęła – zanim wybije wszystkich twoich ludzi i spalę stolicę do gołej ziemi.

Roześmiał się szyderczo. Volusia zauważyła, że on, a razem z nim jego żołnierze, opuścili osłony twarzy, gotując się do bitwy.

Z szybkością błyskawicy pod niebo poniósł się odgłos tysiąca wypuszczanych strzał i tysiąca rzuconych włóczni. Na jej oczach niebo pociemniało od pocisków lecących wprost na nią i jej armię.

Volusia stała jak przyrośnięta do ziemi, nieustraszona, nie wzdygnęła się ani trochę. Wiedziała, że żadne z tych ostrzy nie może jej zabić. Wszak jest boginią.

Stojący tuż obok Vok podniósł swą długą zieloną dłoń i w tej samej chwili wystrzeliła z niej zielona kula. Zawisła w powietrzu przed Volusią, otaczając ją ochronną zielonkawą poświatą. Chwilę potem odbiły się od niej strzały i włócznie, opadając nieszkodliwie na ziemię w postaci ogromnego stosu.

Volusia obejrzała się z wyrazem zadowolenia na twarzy, usatysfakcjonowana widokiem rosnącej sterty włóczni i strzał, po czym na powrót spojrzała w górę. Na twarzach wszystkich żołnierzy Imperium królowało bezgraniczne zdumienie.

- Dam ci jeszcze jedną szansę, by złożyć broń! – zawołała.

Imperialny dowódca objął ją srogim spojrzeniem. Był widocznie podenerwowany. Począł rozważać swe szanse, jednak ani drgnął. Zamiast tego, dał znak swym ludziom, by przygotowali się do kolejnej salwy.

Volusia skinęła na Vokina, a on z kolei dał znak swoim pobratymcom. Przed szereg wystąpiły całe tuziny Voków. Unieśli dłonie wysoko nad głowę, celując nimi wwyż. Chwilę potem niebo zasnuły tuziny zielonkawych kul mknących w stronę murów stolicy.

Volusia obserwowała je z wielką nadzieją. Spodziewała się, iż mury skruszeją, oczekiwała, iż za chwilę ujrzy, jak ci wszyscy żołnierze lądują z łoskotem na ziemi u jej stóp, że stolica będzie należeć do niej. Nie mogła się doczekać, by już, od razu, zasiąść na tronie.

Jednakże, ku jej zdumieniu oraz przerażeniu, kule zielonego światła odbiły się niegroźnie od murów stolicy, po czym znikły w wielkich rozbłyskach światła. Nie mogła pojąć, dlaczego okazały się nieskuteczne.

Obejrzała się na Vokina, ale on również wyglądał na skonsternowanego.

Dowódca obrony stolicy Imperium zarzął śmiechem z wysoka.

- Nie ty jedna masz czary na usługi – powiedział. – Żadna magia nie obróci tych murów w gruzy – wytrzymały próbę czasu, nie krusząc przez tysiące lat, powstrzymały barbarzyńców, całe armie, liczniejsze nawet od twojej. Żadna magia ich nie zburzy – jedynie ludzka dłoń.

Wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jak widzisz – dodał – okpiłaś się w ten sam sposób, jak wielu innych niedoszłych zdobywców, którzy przyszli tu przed tobą. Zdałaś się na magię, przybywając pod stolicę – i teraz zapłacisz za to cenę.

Jak blanki długie i szerokie, wszędzie na nich rozbrzmiały rogi. Volusia obejrzała się i zobaczyła armię wroga zajmującą miejsce na horyzoncie. Była wstrząśnięta. Cały widnokrąg okrył się czernią, kiedy stanęła tam wielotysięczna, olbrzymia armia, większa nawet od tej, jaką Volusia przyprowadziła ze sobą. Najwidoczniej czekała za murami, w odległej, drugiej stronie miasta na pustyni, czekając na rozkaz dowódcy Imperium. Volusia nie targnęła się na kolejną potyczkę – zapowiadała się potężna bitwa rozstrzygająca wynik wojny.

Zagrał kolejny róg. Wtem, masywne złote wrota zaczęły otwierać się przed Volusią. Rozwierały się coraz szerzej, aż w pewnej chwili dobiegł ją donośny okrzyk bojowy. Z wrót wyłoniły się kolejne tysiące żołnierzy Imperium i ruszyły wprost na oddziały Volusii.

W tej samej chwili, stojące na horyzoncie setki tysięcy żołnierzy również przypuściły szarżę. Podzieliły się i otoczyły imperialne miasto, po czym zaatakowały z obu stron.

Volusia nie ustąpiła. Podniosła wysoko pięść i zaraz potem ją opuściła.

Stojąca za nią armia zareagowała potężnym okrzykiem bojowym i ruszyła na spotkanie wojsk Imperium.

Volusia wiedziała, że ta bitwa zdecyduje o losach stolicy – i przyszłości całego Imperium. Zawiodła się na swych nekromantach – lecz jej żołnierze to co innego. Wszak potrafiła być brutalna, jak mało kto, i nie potrzebowała do tego czarów.

Zobaczyła nadbiegających ku niej ludzi. Zaparła się w miejscu i zaczęła napawać chwilą, sposobnością, by zabić lub zostać zabita.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ni stąd ni zowąd Gwendolyn poleciała w powietrze i uderzyła o coś głową. Otworzywszy oczy, rozejrzała się wokół. Była zdeorientowana. Leżała na boku, na twardym, drewnianym podłożu, a świat przesuwał się z wolna koło niej. Usłyszała kwilenie i poczuła coś mokrego na policzku. Obejrzała się i zobaczyła Krohna. Kulił się przy niej i lizał ją – jej serce wezbrało natychmiast radością. Krohn wyglądał na słabego, wygłodzonego i wyczerpanego – jednak wciąż żył. Tylko to miało znaczenie. On również przeżył.

Gwen oblizwała wargi i zdała sobie sprawę, że nie są już tak suche. Poczuła ulgę, mogąc je oblizać. Wcześniej nie mogła poruszyć choćby językiem, taki był spuchnięty. Poczuła strużkę zimnej wody w ustach. Podniosła wzrok i kątem oka dostrzegła nad sobą jednego z pustynnych koczowników, przechylającego bukłak. Chciwie spijała wodę do chwili, kiedy nomada odjął bukłak od jej ust.

Kiedy zabierał dłoń, Gwen podniosła swoją i chwyciła go za nadgarstek, pociągając w kierunku Krohna. Koczownik zdał się na początku skonsternowany, lecz chwilę potem dotarło do niego, czego chce i wlał wody kotu do pyszczka. Gwen była mu wdzięczna, kiedy zobaczyła, jak Krohn chlepta wodę, pije ją na leżąc, sapiąc głośno tuż obok niej.

Poczuła kolejny wstrząs i znów uderzyła się w głowę, kiedy podłoże zadrżało. Wyjrzała na zewnątrz, obróciła głowę, ale zobaczyła jedynie bezkresne niebo i mijające ją chmury. Poczuła, jak jej ciało zaczęło się unosić, z każdym wstrząsem coraz wyżej w powietrzu. Nie mogła pojąć, co się z nią dzieje, ani gdzie jest. Nie miała sił, by usiąść, lecz zdołała nieco wyciągnąć szyję i zobaczyła, że leży na szerokiej, drewnianej platformie, utrzymywanej z obu stron w powietrzu przez liny. Ktoś wysoko szarpał je, aż trzeszczały ze starości, a z każdym pociągnięciem, jej platforma podnosiła się nieco wyżej. Ktoś podciągał ją w górę stromego, bezkresnego urwiska, tego samego, które zauważyła, zanim odpłynęła. Urwiska, które wieńczyły blanki i rycerze w lśniących zbrojach.

Przypomniawszy to sobie, Gwen odwróciła się, wyciągnęła szyję i spojrzała w dół. Natychmiast zrobiło jej się niedobrze. Znajdowała się setki stóp ponad pustynnym podłożem. I wciąż się wznosiła.

Odwróciła się i spojrzała w górę. Setki stóp powyżej widniały blanki, niewyraźne w słonecznym świetle, a na nich, spoglądający w dół rycerze. Z każdym pociągnięciem lin byli coraz bliżej niej.

Gwen odwróciła się gwałtownie i zlustrowała wzrokiem platformę. Z wielką ulgą stwierdziła, że są z nią wszyscy jej towarzysze: Kendrick, Sandara, Steffen, Arliss, Aberthol, Illepra, dziewczynka Krea, Stara, Brant, Atme i kilku Srebrnych. Wszyscy oni leżeli na platformie, dogładani przez nomadów, którzy podawali im wodę i obmywali twarze. Gwen opanowała nagle wdzięczność wobec koczowniczych stworzeń, które ocaliły im życie.

Zamknęła oczy i złożyła głowę z powrotem na twardym drewnianym podłożu. Głowa ciążyła jej jakby była z ołowiu. Tuż obok Krohn zwinął się w kłębek. Świat spowijała błoga cisza. Słychać było jedynie podmuchy wiatru i trzeszczące liny. Tak daleko zawędrowała, tyle czasu jej to zajęło, iż przyszło jej teraz do głowy pytanie, co czeka ją u kresu. Wkrótce znajdą się na górze. Modliła się, aby tylko ci rycerze, kimkolwiek są, okazali się równie gościnni, co owe koczownicze plemię z pustyni.

Z każdym pociągnięciem lin, słońca przygrzewały mocniej, dotkliwiej. Nie było ani skrawka cienia, by się przed nimi schronić. Miała wrażenie, że spali się na wiór, jakby unosiła się ku centrum słońca.

Poczuła ostatnie poderwanie liny i otworzyła oczy. Uświadomiła sobie, że zapadła w sen. Poczuła jakiś ruch i dotarło do niej, że nomadzi, ułożywszy ją z powrotem na płótnie, znoszą ją z platformy na blanki.

W końcu położyli ją delikatnie na kamiennej podłodze. Spojrzała w górę i zamrugwała kilkakrotnie powiekami w kierunku słońca. Była zbyt wyczerpana, by podnieść głowę. Nie wiedziała do końca, czy śni, czy też to rzeczywistość.

W zasięgu jej wzroku pojawiły się tuziny rycerzy. Ubrani w nieskazitelną, błyszczącą kolczę, zgromadzili się wokół niej tłumnie i poczęli przyglądać z zaciekawieniem. Gwen nie mogła pojąć, skąd na tej ogromnej pustyni, na kompletnym pustkowiu, wzięli się ci rycerze. Dlaczego pełnili wartę na tej olbrzymiej grani, w promieniach obu słońc. Jak mogli tu przetrwać? Czego strzegli? Skąd u nich te dworne zbroje? Czy to wszystko było tylko snem?

Nawet Krąg, który szczycił się starożytną tradycją dostojeństwa, nie mógł równać się pod względem rynsztunku z tym, co mieli na sobie ci mężczyźni. Była to jedna z najbardziej misternie wykonanej zbroi, jaką kiedykolwiek widziała. Wykuta ze srebra, platyny i jakiegoś innego, nieznanego jej metalu, nosiła wyryte starannie oznaczenia, a towarzyszył jej równie doborowy oręż. Ludzie ci byli najwyraźniej wyszkolonymi wojownikami. Przypomniał jej się okres, kiedy jako młoda dziewczyna towarzyszyła ojcu na placu ćwiczeń, gdzie pokazał jej żołnierzy ustawionych w idealnym rzędzie, a ona podziwiała ich świetność. Zastanawiała się, jak w ogóle taka doskonałość może istnieć. Być może umarła, a to była jej wizja nieba.

Wówczas jednak usłyszała, jak jeden z nich wystąpił przed szereg, zdjął hełm i spuścił na nią wzrok, spojrzał jaskrawo niebieskimi oczyma pełnymi mądrości i współczucia. Miał najpewniej ponad trzydzieści lat i wyglądał olśniewająco. Na jego głowie nie było ani jednego włosa, za to jego szczękę wieńczyła jasnobłond broda. Najwidoczniej to on tu dowodził.

Rycerz skierował swą uwagę na nomadów.

- Żyją? – spytał.

W odpowiedzi, jeden z koczowników wyciągnął długi kij i delikatnie trącił nim Gwendolyn, która w tej samej chwili przesunęła się. Pragnęła usiąść, ponad wszystko, porozmawiać z nimi, dowiedzieć się, kim są – lecz była półżywa i gardło zbyt jej wyschło, by przemówić.

- Niewiarygodne – rzekł inny rycerz, podchodząc z brzęczącymi ostrogami. Coraz więcej rycerzy zaczęło gromadzić się wokół i przyglądać Gwen i jej pobratymcom, wyraźnie zaciekawieni ich obecnością.

- Nieprawdopodobne – powiedział któryś. – Jak mogliby przeżyć na Wielkim Pustkowiu?

- Nie mogli – powiedział inny. – To z pewnością dezterterzy. Musieli w jakiś sposób pokonać Grań, potem zagubili się na pustyni i zdecydowali się wrócić.

Gwendolyn spróbowała przemówić, powiedzieć im wszystko, lecz była zbyt wyczerpana, by wydobyć z siebie słowa.

Po krótkiej chwili ciszy przed wszystkimi wystąpił dowódca.

- Nie – powiedział pewny siebie. – Spójrzcie na emblematy na jego zbroi – powiedział, trącając Kendricka stopą. – To nie nasz rynsztunek. Ani też imperialny.

Wszyscy rycerze ścisnęli się wokół nich. Byli jeszcze bardziej zdumieni.

- Zatem skąd pochodzą? Zapytał któryś z nieskrywaną konsternacją.

- I skąd wiedzieli, gdzie nas szukać? – zapytał jeszcze inny.

Dowódca zwrócił się do nomadów.

- Gdzie ich znaleźliście? – spytał.

Nomadzi odpowiedzieli mu piskiem. Gwen zauważyła, jak oczy mężczyzny otworzyły się nagle szeroko.

- Po drugiej stronie piaszczystego muru? – spytał. – Jesteście pewni?

Nomadzi odpowiedzieli piskiem.

Dowódca zwrócił się tym razem do swoich ludzi.

- Sadzę, że nie mieli pojęcia o naszej obecności. – Raczej im się poszczęściło – Nomadzi ich znaleźli i teraz chcą za nich zapłaty, biorąc ich za naszych.

Rycerze spojrzeli jeden na drugiego. Widać było, że nigdy jeszcze nie znaleźli się w takiej sytuacji.

- Nie możemy ich przyjąć – powiedział któryś. – Znamy prawa. Wpuścimy ich, to pozostanie ślad. Żadnych śladów. Nigdy. Musimy ich odesłać, wyprowadzić z powrotem na Wielkie Pustkowia.

Nastąpiła długa chwila ciszy, którą zakłócało jedynie wycie wiatru. Gwen wyczuła, iż rozważają, co z nimi począć. Cisza wlokła się nieubłaganie i wcale jej się to nie podobało.

Spróbowała usiąść na znak protestu, powiedzieć im, że nie mogą wysłać ich tam z powrotem. Po prostu nie mogą. Nie po tym wszystkim, przez co przeszli.

- Jeśli to zrobimy, z pewnością umrą – powiedział dowódca. – A nasz kodeks honorowy nakazuje, by wspomóc bezbronnych.

- Ale jeśli ich przyjmimy – ripostował rycerz – wówczas sami możemy skazać się na śmierć. Imperium pójdzie ich śladem. Znajdzie naszą kryjówkę. Narazimy na niebezpieczeństwo cały nasz lud. Wolisz, by poległo kilkoro obcych, czy też cała nasza wspólnota?

Gwen widziała, jak dowódca się namyśla, rozdarty, cierpiąc katusze przed podjęciem trudnej decyzji. Rozumiała z czym to się wiąże. Była zbyt osłabiona, by uczynić cokolwiek innego poza zdaniem się na łaskę i uprzejmość innych ludzi.

- Może to i prawda – powiedział w końcu dowódca. W jego głosie słychać było rezygnację. – Ale nie skazę niewinnych ludzi na śmierć. Idą z nami.

Zwrócił się do swych ludzi.

- Znieście ich na drugą stronę – rozkazał autorytatywnie. – Zaprowadzimy ich przed oblicze króla i to on rozsądzi, co z nimi uczynić.

Rycerze posłuchali i jęli czynić przygotowania do opuszczenia platformy po drugiej stronie. Jeden z rycerzy spojrzał na dowódcę niepewnie.

- Naruszasz królewskie prawo – powiedział. – Żadnych obcych wewnątrz Grani. Przenigdy.

Dowódca spojrzał na niego surowym wzrokiem.

- Jak dotąd żaden obcy nie dotarł do naszych bram – odparł.

- Król wtrąci cię za to do lochów – powiedział rycerz.

Dowódca jednak nie ustąpił.

- Jestem gotów podjąć to ryzyko.

- Z powodu obcych? Nic niewartych pustynnych nomadów? – powiedział zdumiony rycerz. – Nikt nie wie nawet, kim oni są.

- Życie każdej osoby jest cenne – odparł dowódca – a mój honor po stokroć bardziej niż pobyt w lochu.

Dowódca skinął na swych podwładnych, którzy stali w oczekiwaniu. Gwen poczuła, jak nagle uniosła się w ramionach któregoś z rycerzy, opierając się plecami o jego metalowy pancerz. Podniósł ją bez najmniejszego wysiłku, jakby była piórkiem. Pozostali zajęli się resztą. Gwen zauważyła, że idą po kamiennym płaskowyżu wieńczącym szczyt grani, ciągnącym się może na sto stóp. Szli i szli; Gwen uspokoiła się w objęciach rycerza. Poczuła swobodę, jakiej od dawna nie doświadczyła. Pragnęła ponad wszystko podziękować, lecz była zbyt wyczerpana, by choć otworzyć usta.

Dotarli na drugą stronę blaneł. Kiedy rycerze szykowali się, by złożyć ich na kolejnej platformie i opuścić w dół po drugiej stronie grani, Gwen rozejrzała się i kątem oka dostrzegła miejsce, w które się udawali. Miała przed sobą widok, którego nigdy, przenigdy nie mogłaby zapomnieć. Aż zaparło jej dech w piersiach. Górską grań wyrastała z pustyni niczym sfinks, miała kształt ogromnego okręgu, tak wielkiego, że znikwała w chmurach. Pełniła rolę ochronną, a po jej drugiej stronie Gwen ujrziała lśniące, niebieskie jezioro, rozległe niczym ocean, które mieniło się światłem obu pustynnych słońc. Intensywny błękit oraz widok całej tej wody zaparł jej dech i odebrał jej mowę.

A dalej, na horyzoncie dostrzegła łąd, tak ogromny, iż nie widać było jego końca. Była wstrząśnięta. Miała przed sobą żyzną, kwitnącą życiem i bujną zielenią krainę. Jak daleko okiem sięgnąć, ciągnęły się liczne farmy, drzewa owocowe, lasy, winnice i sady, w pełnej krasie. Kraina kwitnąca życiem. Był to najbardziej sielankowy i najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek w życiu widziała.

- Witaj, pani – powiedział ich dowódca – w krainie za Granią.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zwiniętego w kłębek Godfreya obudził przeciągły, uporczywy jęk, który zakłócił mu sen. Obudził się z wolna, nie będąc do końca pewny, czy to rzeczywiście jawa, czy też nadal tkwi w swym bezkresnym koszmarze. Zamrugał powiekami w przyćmionym świetle, starając się otrząsnąć ze snu. Śniło mu się, iż był kukiełką zawieszoną na sznurku, dyndającą na murach Volusii, trzymaną przez Finian, którzy co rusz podrywali ją i upuszczali, poruszając jego rękoma i nogami, kiedy tak chybotał nad wejściem do miasta. Musiał przypatrywać się, jak tysiące pobratymców ginie na jego oczach w okropnej rzezi, topiąc ulice Volusii we krwi. Za każdym razem, kiedy sądził, że to już kres, Fenianin szarpał za sznurek, podciągając go i opuszczając, raz po raz, bez końca.

Wreszcie, na jego szczęście, obudziło go owo zawodzenie. Przetoczył się w bok i z rwącym bólem głowy zauważył, iż jęk dochodzi z odległości kilku stóp. Leżeli tam Akorth i Fulton, zwinięci w kłębek, obaj stękający, a ich ciała pokrywały siniaki i stłuczenia. Nieopodal znajdowali się Merek i Ario. Leżeli bez ruchu, rozwaleni na kamiennym podłożu – które Godfrey natychmiast rozpoznał. Byli uwięzieni w celi. Wszyscy bardzo skatowani, jednakże przynajmniej, wszyscy wciąż razem, i z tego, co Godfrey potrafił stwierdzić, wszyscy oddychali.

Godfrey poczuł jednocześnie ulgę i rozpacz. Był zdumiony, że wciąż żyje, po zasadzce, że Finianie nie zarżnęli go tam na miejscu. Jednakże, czuł również pustkę i udrękę powodowaną poczuciem winy. Wiedział, że wyłącznie z jego winy Darius i pozostali wpadli w zasadzkę w bramie Volusii. Wszystko z powodu jego naiwności. Jak mógł być tak tępy, by zaufać Finianom?

Zamknął oczy i pokręcił głową, pragnąc by te wspomnienia odeszły, by wydarzenia obrały inny kierunek. Bezwiednie sprowadził Dariusa i innych do miasta, niczym baranki na rzeź. Raz po raz słyszał krzyki ludzi, którzy próbowali wtedy walczyć o życie, starali się uciec. Te odgłosy odbijały się echem w głowie, nie dając mu spokoju.

Zakrył uszy dłońmi i siłą woli starał się zmusić je, by odeszły, zagłuszyć jęki Akortha i Fultona, którzy najwyraźniej bardzo cierpieli z powodu stłuczeń i spania na twardej, kamiennej podłodze.

Godfrey usiadł wyprostowany. Głowa ciążyła mu, jakby była z ołowiu. Rozejrzał się po otoczeniu. Znajdował się w niewielkiej celi razem ze swymi druhami i kilkoma innymi osobami, których nie znał. Sądząc po ponurym wyglądzie celi, śmierć mogła nadejść już wkrótce, w czym znalazł niejako pociechę. Lochy wyglądały jakoś inaczej niż poprzednie. Sprawiały wrażenie, jakby były przystankiem dla tych, którzy mieli za chwilę dokonać żywota.

Wtem usłyszał dochodzące gdzieś z oddali krzyki wleczonego korytarzem więźnia. Wówczas dotarło do niego, iż to miejsce rzeczywiście jest czymś w rodzaju koszar – wstępu do egzekucji. Słyszał już o innych egzekucjach wykonywanych w Volusii. Wiedział, że wraz z pozostałymi zostanie wywleczony o brzasku na arenę, gdzie staną się rozrywką dla mas. Porządni obywatele miasta będą mieli okazję zobaczyć, jak Razify rozszarpują ich na kawałki, a dopiero potem nastąpi prawdziwa potyczka gladiatorów. To dlatego tak długo utrzymywali ich przy życiu. Przynajmniej wszystko nabrało w końcu sensu.

Godfrey zerwał się z trudem na nogi, wyciągnął ręce i począł szturchać przyjaciół, starając się ich obudzić. Miał zawroty głowy, czuł ból w każdej części swego pokrytego guzami i siniakami ciała, a każdy ruch przynosił mu cierpienie. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał zanim stracił przytomność, był cios zadany mu przez jakiegoś żołnierza. Zdał sobie sprawę, że musieli spuścić mu niezłe cięgi po tym, jak padł na ziemię. Finianie, ci zdrańcy tchórze, nie mieli najwyraźniej odwagi, by sami go zabić.

Chwycił się za czoło zdumiony, że może pulsować tak wielkim bólem, mimo że jeszcze nic nie pił. Stał niepewnie na nogach i z trzęsącymi się kolanami rozejrzał po ciemnej celi. Za kratami stał jeden wartownik, odwrócony do niego tyłem, który ledwie co na nich zerkał. Mimo to, cela miała

solidny zamek i grube, żelazne pręty. Godfrey wiedział, że tym razem nie ma mowy o łatwej ucieczce, Tym razem utkwili w niej do czasu śmierci.

Z wolna, obok niego stanęli Akorth, Fulton, Ario oraz Merek, i również rozejrzeli się po otoczeniu. W ich oczach dostrzegał konsternację i strach – a potem żal, kiedy wróciła im pamięć.

- Czy oni wszyscy zginęli? – spytał Ario, spoglądając na Godfreya.

Godfrey poczuł bolesny ucisk w żołądku, kiedy przytaknął powolnym skinieniem głowy.

- To nasza wina – powiedział Merek. – Zawiedliśmy ich.

- Owszem – odparł Godfrey łamiącym się głosem.

- Mówilem, żeby nie ufać Finianom – powiedział Akorth.

- Pytanie nie czyja to wina – rzekł Ario – ale co zamierzamy z tym zrobić. Czy pozwolimy, by nasi bracia i siostry odeszli na próżno? Czy też poweźmiemy zemstę?

Godfrey dostrzegł, z jaką powagą na twarzy Ario wypowiedział te słowa. Był pod wrażeniem jego żelaznej determinacji, bez względu na to, iż byli uwięzieni i mieli niedługo zginąć.

- Zemstę? – spytał Akorth. – Rozum postradałeś? Zamknęli nas w podziemiach, za żelaznymi kratami, pod strażą. Wszyscy nasi ludzie nie żyją. Nasze plany przepadły. Jaką to zemstę mielibyśmy tu powziąć?

- Zawsze jest jakiś sposób – powiedział Ario zdecydowanym głosem, po czym zwrócił się do Mereka.

Oczy wszystkich spoczęły na Mereku, który zmarszczył brwi.

- Nie jestem biegły w temacie zemsty – powiedział Merek. – Zabijam, kiedy mnie nękają. Nie czekam na potem.

- Ale przecież jesteś mistrzem złodziejskiego rzemiosła – powiedział Ario. – Całe życie spędziłeś w celi, jak powiadasz. Z pewnością możesz nas stąd wydostać?

Merek odwrócił się i zlustrował przenikliwym wzrokiem celę, kraty, okna, klucze, strażę – dosłownie wszystko. Chłonał każdy szczegół, a następnie spojrzał na nich z ponurą miną.

- To nie jakaś zwykła cela – powiedział. – Zbudowali ją zapewne Finianie. Widać kunszt najwyższej jakości. Żadnych słabych stron, żadnego sposobu na ucieczkę. Bóg mi świadkiem, chciałbym móc rzec inaczej.

Godfrey poczuł się bezsilny. Starając się odciąć od krzyków innych więźniów, podeszedł do drzwi celi, wsparł głowę na zimnym, ciężkim żelazie i zamknął oczy.

- Dajcie go tutaj! – zagrmiał czyjś głos z głębi kamiennego korytarza.

Godfrey otworzył oczy, obrócił głowę i zajrzał w korytarz. Kilku strażników Imperium wlokło właśnie ze sobą jakiegoś więźnia. Mężczyzna miał czerwoną wstęgę biegnącą z ramienia w poprzek klatki piersiowej. Zwisał bezwładnie z ich rąk, nie próbując nawet stawiać oporu. W zasadzie, kiedy podeszli bliżej, Godfrey zauważył, że więzień był nieprzytomny. Coś było z nim najwyraźniej nie w porządku.

- Kolejna ofiara zarazy? – wrzasnął strażnik szyderczo. – I co według was mam z nim uczynić?

- Nie nasz problem! – zawołali pozostali.

Pełniący wartę strażnik spojrzał na nich z przestachem, po czym wzniosł dłonie ku niebu.

- Ja go nie ruszę! – powiedział. – Złóżcie go tam – w dole, razem z innymi zarażonymi.

Strażnicy spojrzeli na niego pytająco.

- Ale przecież jeszcze nie zmarł – odparli.

Pełniący wartę strażnik popatrzył gniewnie.

- Myślisz, że mnie to obchodzi?

Strażnicy wymienili spojrzenie, po czym uczynili tak, jak im kazano, zaciągając mężczyznę przez korytarz i wrzucając do wielkiego dołu. Godfrey dopiero teraz zauważył, iż jamę wypełniały ciała, wszystkie owinięte tą samą czerwoną wstęgą.

- A jeśli spróbuje uciec? – spytali strażnicy przed odejściem.

Wartownik skwitował to okrutnym śmiechem.

- Nie wiecie, co ta zaraza robi z człowiekiem? – zapytał. – Do rana będzie martwy.

Obaj strażnicy odwrócili się i odeszli. Godfrey spojrzał na zakażonego mężczyznę, który leżał przez nikogo niepilnowany w dole, i nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Był na tyle szalony, że mógł zadziałać.

Odwrócił się do Akortha i Fultona.

- Uderzcie mnie – powiedział.

Wymienili pełne zdumienia spojrzenie.

- Powiedziałem, żebyście mnie uderzyli! – powiedział Godfrey.

Pokręcili tylko głowami.

- Oszalałeś? – spytał Akorth.

- Nie uderzę cię – wtrącił Fulton – choć może i na to zasługujesz.

- Każę wam mnie uderzyć! – zażądał Godfrey. – Mocno. W twarz. Złamcie mi nos! JUŻ!

Jednakże Akorth i Fulton odwrócili się od niego.

- Zdurniałeś – powiedzieli.

Godfrey zwrócił się do Mereka i Ario, ale oni również cofnęli się przed nim.

Wtem do Godfreya podszedł jeden z pozostałych więźniów zajmujących z nim celę.

- Niechący podsłuchałem – powiedział, szczerząc niepełne użębienie i cuchnąc na całym ciele.

- Z wielką przyjemnością cię uderzę, choćby po to, byś się zamknął! Dwa razy prosić nie musisz.

Więzień wziął zamach i swą kościstą pięścią trafił Godfreya prosto w nos. Godfrey poczuł, jak jego czaszkę przeszywa ostry ból, wrzasnął i złapał się za nos. Jego twarz i koszulę zalała tryskająca wszędzie krew. Ból zapiekł mu oczy i przesłonił wszystko wkoło.

- A teraz potrzebna mi będzie ta wstęga – powiedział Godfrey, zwróciwszy się do Mereka. – Zdobędziesz ją dla mnie?

Zdumiony Merek podążył wzrokiem we wskazanym kierunku, przez korytarz ku leżącemu w jamie więźniowi.

- Dlaczego? – zapytał.

- Po prostu to zrób – powiedział Godfrey.

Merek zmarszczył brwi.

- Gdybym związał coś ze sobą, może bym ją zaczepił – powiedział. – Coś dłuższego i wąskiego.

Merek podniósł dłoń, dotknął kołnierza i wydobył z niego drut. Kiedy go rozwinął, był wystarczająco długi, by przysłużyć się sprawie.

Merek ostrożnie wsparł się o więzienne kraty, tak by nie zaalarmować strażnika, i sięgnął drutem w stronę mężczyzny, starając się zahaczyć o wstęgę. Drut wylądował jednak na ziemi, o kilka cali za blisko.

Merek spróbował kolejny raz, i kolejny. Za każdym następnym jego łokieć klinował się między kratami. Były zbyt grube.

W pewnej chwili w ich stronę odwrócił się strażnik. Merek szybko wycofał drut, zanim mężczyzna zdążył go zauważyć.

- Daj mi spróbować – powiedział Ario, podchodząc do krat, kiedy wartownik odwrócił się w swoją stronę.

Ario chwycił długi drut i wyciągnął go przez kraty. Jego ręce, o wiele chudsze, precyzyjnie sięgnęły przez nie aż po barki.

Tych sześć cali było wszystkim, czego było im trzeba. Ledwo drut zahaczył o końcówkę czerwonej wstęgi, Ario zaczął przyciągać ją do siebie. Zatrzymał się nagle, kiedy strażnik, który drzemał sobie odwrócony w drugą stronę, podniósł głowę i rozejrzał się wokoło. Czekali w napięciu, pocąc się i modląc, by nie spojrzeć w ich stronę. Czekali zdawałoby się całą wieczność. W końcu mężczyzna zapadł z powrotem w drzemkę.

Ario przyciągał wstęgę coraz bliżej, sunąc nią po więziennej podłodze, aż wreszcie przecisnęła się przez kraty do ich celi.

Godfrey sięgnął po nią i założył na siebie. Wszyscy cofnęli się przed nim z przerażenia.

- Co do diaska czynisz? – spytał Merek. – Wstęga ma na sobie zarazę. Jeszcze złapiemy ją wszyscy,

Pozostali więźniowie również cofnęli się przed nim.

Godfrey zwrócił się zaś do Merek.

- Zaczę kaszleć i nie przestanę – powiedział ze wstęgą na sobie i silnym postanowieniem. – Kiedy przyjdzie strażnik i zobaczy krew i tę wstęgę, powiecie mu, że jestem zarażony, że popełnili błąd, nie odseparowując mnie od innych.

Godfrey nie tracił czasu. Zaczął gwałtownie kaszleć, rozcierając krew na twarzy i całym ubraniu, by wyglądało to gorzej niż w rzeczywistości. Kaszlał głośniejszym niż kiedykolwiek dopóty, dopóki nie usłyszał, jak otwierają się drzwi do jego celi i do środka wchodzi strażnik.

- Uciszcie swego druha – powiedział. – Rozumiecie.

- Żaden z niego druh – odparł Merek. – Zwykły człek, którego spotkaliśmy po drodze. Ma zarazę.

Skonsternowany strażnik spuścił wzrok i zauważył czerwoną wstęgę, po czym jego oczy rozwarły się szeroko.

- Jak on tu trafił? – spytał wartownik. – Powinien zostać odseparowany.

Godfrey kaszlał coraz mocniej i mocniej. Jego ciało podrygiwało w spazmatycznych atakach kaszlu.

Wkrótce poczuł, jak chwytają go szorstkie łapska strażnika i wyciągają na zewnątrz, po czym popychają brutalnie. Zatoczył się w korytarzu i po kolejnym razie wpadł do jamy z ofiarami plag.

Leżał na zainfekowanym ciele mężczyzny, starając się nie oddychać zbyt głośno, odwrócić głowę i nie wdychać zarazy. Modlił się do Boga, by jej nie złapać. Zapowiadała się długa noc spędzona na leżeniu w tym dole.

Lecz nikt go już nie pilnował. Kiedy będzie jasno, powstanie.

I zaatakuje.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Thorgrin czuł, iż mknie na dno oceanu. Czuł narastające ciśnienie w uszach i tonął coraz głębiej w lodowatej wodzie. Miał wrażenie, że przesywa go milion sztyletów. Mimo to, kiedy tak brnął w głąb, wydarzyła się dziwna rzecz: światła nie ubyło, lecz zrobiło się jaśniej. Młócił wodę rękoma i nogami, ale wciąż tonął wciągany przez wielkie masy morskiej kipieli. Spojrzał niżej i doznał wstrząsu – w świetlnym obłoku dostrzegł ostatnią osobę, której spodziewałby się tu spotkać: swoją matkę. Uśmiechała się do niego. W intensywnie jaskrawym świetle ledwie dostrzegał zarysy jej twarzy. Wyciągnęła ku niemu ramiona w pełnym miłości geście, a on tonął, płynąc wprost do niej.

- Synu mój – powiedziała krystalicznie czystym głosem, pomimo natłoku wody. – Jestem tu z tobą. Kocham cię. Twój czas jeszcze nie nadszedł. Bądź silny. Zdałeś test. Lecz jeszcze wiele przed tobą. Staw czoła życiu i nie zapominaj, kim jesteś. Nie zapominaj, że twa moc nie w orężu, lecz w twym wnętrzu bierze swój początek.

Thorgrin otworzył usta, by odpowiedzieć, ale w tej samej chwili zalała go woda. Połknął ją i niemal utonął.

Poderwał się ze snu i rozejrzał wokoło, zastanawiając się, gdzie się znajduje. Poczuł szorstki materiał na nadgarstkach i zrozumiał, że ma ręce związane za plecami, wokół drewnianego pala. Rozejrzał się po zaciemnionej ładowni, wyczuł kołysanie pokładu i natychmiast zrozumiał, że jest na statku. Wiedział to dzięki temu, w jaki sposób poruszało się jego ciało, dzięki wpadającym tu promieniom światła, dzięki stęchlemu zapachowi ludzi uwięzionych pod pokładem.

Rozejrzał się i natychmiast wzmógł czujność. Był osłabiony. Starał się przypomnieć sobie cokolwiek. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, był ów okropny sztorm. Potem rozbił się ich okręt, a następnie, wraz ze swymi ludźmi wypadł do wody. Przypomniawszy sobie Angel, jak trzymał ją kurczowo, a potem miecz za pasem, Miecz Śmierci. Jak zdołał przeżyć?

Rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, jak może wciąż płynąć po morzu. Był zdeorientowany. Zaczął desperacko szukać wzrokiem swych kompanów oraz Angel. Ulżyło mu, kiedy dostrzegł ich kształty w mroku. Byli tam wszyscy, przywiązani do żerdzi: Reece oraz Selese, Elden i Indra, Matus, O'Connor i kilka stóp dalej, Angel. Thor poczuł, jak serce wzbiera mu radością na widok ich wciąż żywych, choć wyglądali na skonanych, zmaltretowanych zarówno przez sztorm, jak i piratów.

Wtem, gdzieś z góry dobiegł go rechotliwy śmiech, jakieś podniesione głosy i wiwaty. Potem usłyszał coś w rodzaju wybuchu, kiedy ktoś zwałił się na drewniany pokład z głuchym łoskotem. Wówczas dotarło do niego: to piraci. Najemnicy, którzy próbowali utopić go w morzu.

Ten dźwięk rozpoznałby wszędzie. Odgłosy wydawane przez nieokrzesanych prostaków, którym uprzykrzyła się morska nuda i szukają zaczepki – spotkał takich już nazbyt wielu. Dotarło do niego, iż jest ich więźniem. Naparł na więzy, próbując oswobodzić się z nich.

Ale nie zdołał. Miał zbyt dobrze związane ręce, stopy zresztą również. Nigdzie się nie wybierał.

Zamknął oczy i spróbował przywołać swe moce, moce, które mogły przesuwac góry, gdyby tak postanowił.

Lecz nie odpowiedziały. Był zbyt wyczerpany wysiłkiem, jaki kosztowało go uporanie się ze sztormem. Nie odzyskał jeszcze w pełni sił. Wiedział z doświadczenia, że potrzebny był mu czas, by dojść do siebie. Czas, którego nie miał.

- Thorgrin! – odezwał się ktoś w mroku z wyraźną ulgą w głosie. Rozpoznał ten głos natychmiast. Obejrzał się i dostrzegł Reece'a, który siedział związany kilka stóp dalej i wpatrywał się w niego z radością. – Żyjesz! – dodał Reece.

- Nie wiedzieliśmy, czy dasz radę!

Thor obrócił się i po drugiej stronie zobaczył związanego O'Connora. Był równie uradowany.

- Modliłam się cały czas za ciebie – dobiegł go słodki cichy głosik z mroku.

Thor dostrzegł teraz również Angel. W jej oczach perliły się łzy radości. Widział, jak bardzo jej na nim zależy.

- Zawdzięczasz jej życie, wiesz? – powiedziała Indra. – Kiedy cię uwolnili, to ona skoczyła za tobą w otchłań i sprowadziła z powrotem. Gdyby nie jej odwaga, nie siedziałbyś tu teraz z nami.

Thor spojrzał na Angel z większym szacunkiem. Poczuł również znacznie większą wdzięczność oraz przywiązanie.

- Dziecino, kiedyś spłacę ten dług – powiedział do niej.

- Już to uczyniłeś – powiedziała, a on zauważył, z jaką powagą wymówiła te słowa.

- Spłać jej ten dług teraz i nas stąd wydostań – powiedziała Indra, mocując się z własnymi więzami. Widać było, iż jest poirytowana. – Ci bezwzględni piraci to najpodlejsza hałastrą ze wszystkich. Znaleźli nas po burzy unoszących się na morzu i związali, kiedy jeszcze byliśmy nieprzytomni. Gdyby stanęli z nami w szranki, twarzą w twarz, zupełnie inaczej wyglądałoby to wszystko.

- To tchórze – powiedział Matus. – Jak wszyscy piraci.

- Ogołocili nas też z broni – dodał O'Connor.

Serce stanęło Thorowi na chwilę na myśl o jego broni, zbroi, Mieczu Śmierci.

- Nie martw się – powiedział Reece, widząc jego minę. – Nasz oręż przetrwał sztorm – łącznie z twoim. Nie spoczywa na dnie morza przynajmniej. Ale przejęli go piraci. Widzisz, tam między sztachetami?

Thor zerknął przez deski i na pokładzie dostrzegł całą ich broń. Leżała rozłożona na słońcu, a wokół niej gromadzili się piraci. Dostrzegł topór bojowy Eldena i złoty łuk O'Connora, halabardę Reece'a, cep Matusa, włócznię Indry oraz worek z piaskiem Selese'y – i swój własny Miecz Śmierci. Dostrzegł piratów z dłońmi na biodrach, spoglądających na oręż z satysfakcją.

- Nigdy nie widział takiego miecza – powiedział któryś do swego kompana.

Thor, wściekły ponad miarę, spurpurowiał na twarzy, kiedy pirat trącił miecz stopą.

- Wygląda, jakby należał do samego króla – powiedział inny, podchodząc bliżej.

- Pierwszy go znalazłem, jest mój – powiedział ten pierwszy.

- Po moim trupie – powiedział ten drugi.

Na oczach Thora mężczyźni wzięli się za bary, po czym grzmotnęli z głuchym łoskotem o pokład, siłując się ze sobą, podczas gdy inni otoczyli ich i naigrywali się z nich na głos. Walczący szamotali się na deskach, rozdając ciosy pięściami i łokciami, podpuszczani przez resztę. W pewnej chwili Thor dostrzegł krew przeciekającą przez pokład, kiedy jeden z piratów zmiażdżył głowę drugiego, przygniatając ją kilkukrotnie do pokładu.

Pozostali skwitowali to wiwatami, napawając się chwilą.

Zwycięski pirat, mężczyzna pozbawiony koszuli, z muskularną klatką piersiową, w poprzek której biegła długa szrama, wstał i oddychając ciężko podszedł do Mieczu Śmierci. Na oczach Thora sięgnął po niego, chwycił i uniósł wysoko w zwycięskim geście. Pozostali wznieśli okrzyki.

W Thorze zagotowało się wszystko. Ta szumowina trzymała jego miecz, miecz godny króla. Miecz, dla którego ryzykował życie. Miecz powierzony jemu, nikomu innemu.

Wtem rozległ się krzyk. Thor zauważył, że pirat skrzywił się z bólu, wrzasnął i rzucił miecz, jakby to był wąż. Oręż przeleciał na jego oczach w powietrzu, po czym upadł na pokładzie ze szcękami, wydobywając z niego głuchy odgłos.

- Ugryzł mnie! – wrzasnął pirat do pozostałych. – Ten smoczy miecz ugryzł mnie w rękę! Sami obaczcie!

Wyciągnął przed siebie rękę i oczom wszystkich ukazała się dłoń, bez jednego palca. Thor rzucił okiem na miecz, na jego rękojeść widoczną między deskami pokładu, i zauważył niewielkie, ostre ząbki wystające z jednej z twarzy wyrytych na jej powierzchni. Z rękojeści ściekała krew.

Pozostali piraci również na niego zerknęli.

- Czarci oręż! – wrzasnął któryś.

- Nie tykam go! – krzyknął inny.

- Nic to – powiedział jeszcze inny, odwracając się tyłem. – Jest mnóstwo innej broni do wyboru.

- A co z moim palcem? – wrzasnął zdjęty bólem pirat.

Pozostali piraci roześmiali się. Zignorowali go całkiem i w zamian zabrali się za pozostałą broń, walcząc o zdobycz.

Thor skupił uwagę z powrotem na mieczu, który spoczywał teraz tak blisko, zводniczo, tuż po drugiej stronie pokładu. Ponownie spróbował oswobodzić się, naparł ze wszystkich sił, jednak więzy nie chciały puścić. Zbyt dobrze je związali.

- Gdybyśmy tylko mieli własną broń – syknęła Indra. – Nie mogę znieść widoku ich tłustych łapsk na mojej włóczni.

- Może ja coś wskóram – powiedziała Angel.

Thor i pozostali spojrzeli na nią sceptycznie.

- Nie związali mnie tak dobrze jak was – wyjaśniła. – Bali się mego trądu. Związali mi ręce, ale potem dali sobie spokój. Zobaczcie.

Angel wstała, pokazując im związane za plecami nadgarstki. Jej stopy jednak nie były niczym spętane.

- Na wiele nam to się nie zda – powiedziała Indra. – Wciąż tkwisz tu z nami uwięziona.

Angel pokręciła głową.

- Nie rozumiecie – powiedziała. – Jestem mniejsza od was wszystkich. Mogę przecisnąć się przez te deski. Potem zwróciła się do Thora. – Mogę dosięgnąć twego miecza.

Spojrzał na nią. Jej bojowość wywarła na nim wrażenie.

- Jesteś bardzo odważna – powiedział. – Podziwiam to w tobie. Ale naraziłabyś się. Jeśli cię tam złapią, mogą zabić.

- Lub gorzej – dodała Selese.

Angel obejrzała się na nią, patrząc dumnie, uparcie.

- Umrę tak, czy inaczej, Thorgrinie – odparła. – Wiem to już od dawna. Życie mnie tego nauczyło. Choroba. Śmierć nic dla mnie nie znaczy; tylko życie jest coś warte. I to życie wolne, bez więzów narzucanych przez mężczyznę.

Thor przyjrzał się jej. Był urzeczonej, wręcz zdumiony jej rezolucją w tak młodym wieku. Wiedziała więcej o życiu niż niejeden z wielkich nauczycieli, których Thor zdążył już poznać.

Przytaknął jej skinieniem głowy z poważną miną. Dostrzegł w niej ducha wojownika i nie zamierzał go powstrzymywać.

- Ruszaj więc – powiedział. – Pospiesz się i nie hałasuj. Jeśli zauważysz jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, wróć do nas. Więcej cenię sobie ciebie, aniżeli ten miecz.

Angel rozpromieniła się na twarzy. Słowa Thora dodały jej otuchy. Odwróciła się i puściła pędem przez ładownię, poruszając się niezgrabnie z rękoma na plecach, aż dotarła do wyjścia. Przyklękła i wyjrzała przez żerdzie, pocąc się i otwierając szeroko oczy ze strachu.

Wreszcie, widząc nadarżającą się okazję, wytknęła głowę między deskami. Ledwie się mieściła. Jednak przecisnęła się dalej, odpychając się nogami.

Chwilę później nie było jej już w ładowni. Thor dostrzegł ją na pokładzie. Serce zabiło mu mocniej. Zaczął modlić się o jej bezpieczeństwo, by odzyskała miecz i zdążyła wrócić, zanim będzie za późno.

Angel wstała, przykucnęła i pospiesznie ruszyła do miecza. Sięgnęła bosą stopą, położyła ją na rękojeści i przesunęła kawałek.

Miecz zazgrzytał głośno o pokład, jednak znalazł się bliżej ładowni, zaledwie kilka cali od żerdzi. Wtem powietrze przeciął jakiś głos.

- Ty mała glizdo! – wrzasnął pirat.

Na oczach Thora wszyscy piraci obejrzel się w jej stronę i natychmiast podbiegli.

Angel puściła się biegiem, starając się wrócić – jednak pochwycili ją zanim zdołała to uczynić. Zgarnęli ją z pokładu, unieśli wysoko i ruszyli do relingu, niejako zamierzając wyrzucić za burtę.

Angel zdołała podrzucić piętę z siłą i wydobyć z gardła pirata jęk, kiedy trafiła go między nogi. Mężczyzna zawył i upuścił Angel, która bez chwili wahania pobiegła przez pokład, dotarła do miecza i kopnęła go.

Thor spoglądał jak urzeczony, jak jego oręż przelatuje przez szparę i ląduje ze szczękiem w ładowni, tuż przy jego stopach.

W następnej chwili usłyszał krzyk, kiedy pirat spoliczkował Angel. Pozostali jego kamraci pochwycili ją i zanieśli nad reling, szykując się do wyrzucenia jej do morza.

Thor spojrzał na miecz, a obawiając się bardziej o Angel, niż o siebie, oblał się potem. Poczuł jednak tę niesłychanie silną więź, która łączyła go z tym orężem. Nie musiał korzystać z własnych mocy. Przemówił do niego, jak do przyjaciela, i ten go posłuchał.

- Przybądź do mnie, druhu. Oswobodź mnie z więzów. Niechaj znów będziemy razem.

Miecz odpowiedział na jego wezwanie. Uniósł się znienacka w powietrze, podpłynął ku więzom i przeciął zwoje sznura.

Thor obrócił się natychmiast, złapał rękojeść w powietrzu i wykonał cios w dół, rozcinając więzy u swych stóp.

Potem skoczył na równe nogi i rozciął pęta wiążące wszystkich pozostałych.

Odwrócił się i rzucił na żerdzie. Podniósł nogę i kopnął drewniane drzwi, rozbijając je na drzazgi. Wpadł na zalany słonecznym światłem pokład. Był wolny, dzierżył miecz – i ponad wszystko pragnął uratować Angel.

Pobiegł przez pokład i zaatakował mężczyzn trzymających Angel, która zaczęła wykręcać się w ich objęciach ze strachu, kiedy dotarli nad reling.

- Uwolnijcie ją! – wrzasnął Thor.

Rzucił się w jej kierunku, wyrzynając piratów, którzy opadali go ze wszystkich stron, tnąc ich torsy jak się patrzy, zanim zdołali zadać chociażby jeden cios – żaden nie mógł równać się z nim, ani z Mieczem Śmierci.

Przebił się przez grupę piratów, kopniakiem pozbył się kolejnych dwóch z drogi, po czym chwycił za poły koszuli ostatniego, tuż zanim ten zdążył upuścić Angel do morza. Pociągnął go na siebie, sprowadzając Angel znów nad pokład, i wykręcił mu rękę. Zmusił go tym samym do uwolnienia Angel, która wylądowała bezpiecznie na pokładzie.

Potem chwycił mężczyznę i cisnął za burtę. Pirat pomknął ku lodowatej morskiej kipieli z wrzaskiem.

Zaraz potem Thor usłyszał odgłosy kroków. Odwrócił się i zobaczył tuziny nadciągających piratów. Tym razem nie była to niewielka łódź żaglowa, lecz ogromny, pełnowymiarowy statek, równy pod względem wielkości każdemu innemu okrętowi wojennemu. Było na nim około setki piratów, wszystkich zahartowanych, nawykłych do życia pełnego morskiej bijatyki. Zaatakowali go całą kupą, najwyraźniej złąknieni utarczki.

Druhowie Thora z Legionu wylali się na pokład, pędząc po swą broń, pragnąc odzyskać ją zanim wpadną w ręce piratów. Elden uskoczył w bok, kiedy jeden z piratów zamachnął się maczetą na jego kark, po czym chwycił go i uderzył bykiem, łamiąc piratowi nos. Wyrwał mu maczetę z dłoni i ciął z góry na dół, przepoławiając mężczyznę na dwoje. Potem skoczył po swój bojowy topór.

Reece porwał swoją halabardę, O'Connor swój łuk, Indra włócznię, Matus cep, a Selese swą sakwę z piaskiem. Angel przemknęła obok i dzieliła pirata w pischel zanim ten zdążył rzucić sztylet w Thora. Pirat wrzasnął i chwycił się za nogę, a sztylet wypadł za burtę.

Thor zaatakował, skoczył na skupisko piratów, kopiąc jednego w żebra, tnąc drugiego mieczem, po czym obrócił się na pięcie i ciął jeszcze innego po ramieniu, zanim ten zdążył opuścić maczetę na Reece'a. Zaatakował go kolejny, chcąc dzielić Thora maczugą po głowie, jednak ten zrobił unik

i pałka przemknęła z gwizdem tuż obok. Już zamierzał go przebić mieczem, kiedy pojawił się nad nim Reece i zabił go swą halabardą.

O'Connor wypuścił dwie strzały, które świsnęły obok Thora. Thor odwrócił się i zobaczył, jak dwóch piratów atakujących go od tyłu pada martwych na pokład. W następnej chwili zauważył pirata szarżującego na Angel. Już miał puścić się za nim w pogoń, kiedy pojawił się O'Connor i wbił mężczyźnie strzałę w plecy.

Thor usłyszał za sobą kroki i obrócił się w okamgnieniu. Zobaczył pirata podbiegającego do O'Connora od tyłu z maczugą w dłoni. Thor runął na niego, czując wibracje rozchodzące się od rękojeści Miecza Śmierci, i przerąbał grubą maczugę na pół, po czym wbił ostrze miecza w jego serce, zanim O'Connorowi stała się krzywda. Następnie okręcił się, kopnął innego pirata w bok, a Miecz Śmierci sam odnalazł drogę, pozbawiając mężczyznę głowy. Thor nie mógł wyjść z podziwu. Miał wrażenie, że miecz obdarzony jest własnym sercem, że prowadzi go tam, gdzie chce.

Wyrzynał wszystkich wokoło z furją i wkrótce miał przed sobą stertę ciał złożoną z tuzina ubitych piratów. Zbroczony krwią po łokcie poczuł nagle na plecach ciężar pirata. Najmita zaskoczył go, wznosił sztylet i opuścił. Był zbyt blisko i było już za późno, by Thor zdążył zareagować.

Kątem oka zauważył w powietrzu jakiś przedmiot, który mknął wprost ku niemu. W następnej chwili, ni stąd, ni zowąd, pirat wypuścił go z uścisku i padł na pokład. Thor odwrócił się i ujrzał Angel. Właśnie cisnęła kamień, który, jak się okazało, trafił pirata dokładnie w skroń. Mężczyzna zwił się teraz u stóp Thora, który ze zdumieniem obserwował, jak Angel podeszła, podniosła z pokładu hak, uniosła go wysoko i nadziała na niego pirata. Był to ten sam hak, którego piraci użyli, by zacisnąć wokół nich sieć w morzu. Dotarło do Thora, że sprawiedliwość właśnie się dopełniła.

Nie podejrzewał, iż Angel stać na coś takiego. W jej oczach dostrzegł zaciętość. Kiedy tak stała nad nim zrozumiał, że drzemie w niej duch prawdziwego wojownika, że jest bardziej skomplikowana, niż sądził.

Odwrócił się i rzucił w wir walki. Atakował bez przerwy, podobnie jak jego kompani, walcząc zespołowo, jak wiele już razy, niczym świetnie zestrojona maszyna bojowa, pilnując przez cały czas siebie nawzajem. Toczyli piękny bój, tworząc doskonale skoordynowany zespół. Podczas gdy Elden wymachiwał swym toporem, Indra cisnęła włócznią, zabijając tych, których Elden nie mógł dosięgnąć. Matus wywijał cepem, zabijając dwóch piratów naraz, natomiast Reece skorzystał ze swej długiej halabardy, by zabić trzech kolejnych, zanim dosięgli Selese. Z kolei Selese posypała piaskiem z worka ich rany, lecząc je na bieżąco i przysparzając im sił.

Ich los z wolna począł się odwracać, kiedy tak wycinali piratów jednego za drugim. Trup ścielił się gęsto i wkrótce przy życiu pozostał już tylko tuzin najmitów.

Kiedy dotarło do reszty, że nie dadzą rady wygrać, upuścili sztylety, maczety i topory, i z oczami szeroko otwartymi ze strachu unieśli ręce na znak poddania.

- Nie zabijajcie nas! – wrzasnął któryś, drżąc z przerażenia. – Nie chcieliśmy tego! Robiliśmy tylko to, co inni!

- Pewnie, że nie – powiedział Elden.

- Spokojna głowa – powiedział Thor – nie chcemy was zabić.

Wsunął miecz do pochwy, podszedł o krok, chwycił pirata, uniosł nad głowę i cisnął za burtę, wprost do morza.

- Ryby uczynią to za nas.

Pozostali dołączyli do Thora, przymuszając orężem pozostałych piratów do opuszczenia pokładu. Wkrótce wokół topielców zaczęły krążyć rekiny. Woda zabarwiła się na czerwono i krzyki piratów zagłuszył szum fal.

Thor odwrócił się i objął wzrokiem swych kompanów. Wszyscy wpatrywali się w niego. W ich oczach odczytał, iż podzielali jego myśl: zwycięstwo, słodkie zwycięstwo doprawdy stało się ich udziałem.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.